

# KL Gross-Rosen

Z Oświęcimia do Gross-Rosen jechaliśmy etapami, kolejową więźniarką. Z Oświęcimia odjechaliśmy dopiero po południu 17 grudnia 1941 roku. Tego samego dnia pod wieczór wysadzono nas na stacji kolejowej w Krakowie, na dworcu zachodnim. Boczny wyjściem sprowadzono nas do samochodu ciężarowego. Wysadzono nas pod jakimś więziennym budynkiem w bocznej ulicy, podczas zawiei śnieżnej. Okazało się, że jest to krakowskie więzienie św. Michała. Tam nas wykapano i wysmarowano jakimś cuchnącym płynem, ale niestety jeść nie dano. Po prostu nie byliśmy tam zaprowiantowani. A zaprowiantowanie na cały dzień dokonuje się rano. Odizolowano nas w małej oddzielnej celce. W nocy, kiedy już odeszli gestapowcy i inni urzędnicy niemieccy, przyszedł polski strażnik więzienny, pytając, czy nie chcielibyśmy iść do kaplicy. Zdziwiony zapytałem, dlaczego w nocy, czy w dzień kaplica jest nieczynna? Dowiedziałem się, że kaplicą nazywają tu pewną dużą celę. Tam jest dużo więźniów i chcieliby się dowiedzieć, jak naprawdę jest w Oświęcimiu. Zgodziliśmy się bardzo chętnie. W tej celi było kilkudziesięciu więźniów. Pytano nas przede wszystkim o swoich znajomych. Nie znaliśmy jednak nikogo z nich. Pytano o wszystko. Odpowiadaliśmy możliwie wiernie, bez straszenia i wyolbrzymiania. Ale były to rzeczy tak niewiarygodne, że nam nie bardzo wierzono, ba, nawet posądzano, że jesteśmy kapusiami. Musieliśmy przysięgać na krzyżyk, że mówimy prawdę. Dopiero kiedy dr Żegleń rozpoznał wśród więźniów jakiegoś swego szkolnego kolegę, atmosfera się zmieniła. Dochodziła jednak północ i przed zmianą strażnik odprowadził nas z powrotem do naszej celi. Od tej grupy więźniów nie dowiedzieliśmy się niczego nowego. Tyle tylko, że terror w GG nasila się stale i życie na wolności jest coraz trudniejsze. Oni nie mieli drogi do przekazywania wiadomości na wolność. Pytaliśmy o to także strażnika, ale bał się i nie chciał się zgodzić.

Następnego dnia po śniadaniu znów żegnaliśmy więzienie. Nie otrzymaliśmy też żadnego prowiantu na drogę, mimo że upominaliśmy się o to. Skutych razem, poprowadzono nas na piechotę. Głupio tak iść przez znajome miasto i ulice, kiedy przechodnie znikają w bramach. Poszliśmy znowu na dworzec zachodni i wsadzono nas chyba do tej samej więźniarki, którą dopiero doczepiono na końcu składu pociągu. Z dworca zachodniego odchodzą pociągi w kierunku zachodnim. Nie wiedzieliśmy zatem, co znaczy takie wożenie nas na

wschód i na zachód. Tym razem więźniarka była pełna, i straż w korytarzu była wzmocniona. Zewsząd podczas jazdy słychać było strzępy rozmów, jednak o nawiązaniu jakiegokolwiek kontaktu nie było mowy. Nie znam nazw stacji po drodze, a będąc na końcu pociągu i pod zamknięciem niewiele mogliśmy usłyszeć z nawoływań konduktora. W każdym razie stwierdziliśmy, że w pociągu jadą więźniowie górale oraz że droga nasza wiedzie chyba z powrotem przez Oświęcim. I chyba tak było. Po prawie dwóch godzinach zabrano na jakiejś stacji wszystkich więźniów. Ucichło i opustoszało w naszym wagonie. Wagon nasz przetaczano po torach, aż wreszcie przyczepiono do innego pociągu i znów pojechaliśmy dalej. Po prawie półtorej godziny usłyszeliśmy zapowiedź stacji Katowice. Tam nas znów przepinano do innego pociągu i pojechaliśmy dalej na zachód. Po drodze, na kilku stacjach, doprowadzano nowych więźniów, ale wszystkich chyba wysadzono w Opolu. My jechaliśmy jeszcze długo, nie znając ani położenia, ani kierunku. Późno w nocy wysadzono nas na stacji Wrocław Nadodrze – Breslau Odertor. Stamtąd znów na piechotę, w kajdankach i na łańcuszkach, pod eskortą, maszerowaliśmy przez prawie cały Wrocław aż do więzienia, do dziś istniejącego przy ul. Sądowej. Tam znów w nocy kąpiel, dezynfekcja i bez jedzenia spać. Mieli jednak z nami problem, bo nie mieli gdzie nas umieścić. Tam nie obowiązywały widocznie normy zagęszczenia jak w GG. Po wielu telefonach, coś tam jednak uzgodniono i zaprowadzono nas do oddziału przestępców małoletnich. Byli to przeważnie drobni złodzieje rowerów, kieszonkowcy uliczni i tramwajowi. Przeważnie dwujęzyczni, tzn. z dość dobrą znajomością języka polskiego. Nawet nie wiedziałem dotychczas, że język polski we Wrocławiu jest tak popularny, że każde dziecko ulicy go zna. „Odsiadkowa młodzież” była raczej zaszczyczona obecnością w ich celi dwóch kacetowców i to dożywotnich. Usługiwali nam, wypytywali o wiele rzeczy, w tym i o to, za co siedzimy. Byli pewni, że coś się nam w naszym fachu nie powiodło i początkowo nie chcieli wierzyć, że w Polsce takie rzeczy, jak zamykanie niewinnych ludzi, są na porządku dziennym. Było wesoło. Przez całe życie nie nasłuchałem się tytułu złośliwych wierszyków i piosenek o Hitlerze i Mussolinim, jak wtedy w ciągu tego tygodnia. Żałuję, że je pozapominałem. Jedzenie we Wrocławiu było znośne, w każdym razie do syta. Tak przeminął jeden tydzień. Odsypialiśmy zaległości w dość miękkich łóżkach z pościelą. W ciągu dnia nie wstawaliśmy prawie zupełnie. Dopiero 23 grudnia po południu wsadzono nas znów do pociągu i pojechaliśmy dalej na zachód.

Kiedy wysadzono nas na stacji kolejowej w Legnicy, było już ciemno. Tam już czekali na nas SS-mani. Wsadzili nas do starej rozklekotanej karetki samochodowej. Jeden z nich dał się zamknąć razem z nami. Była straszna zawieja, samochód wpadał ciągle w poślizg. Jechaliśmy ponad 2 godziny, wreszcie nas wysadzono. Byliśmy pod bramą obozową. Wszystko wyglądało nędznie. Mała budka wartownicza koło bramy, druty obozowe rozpięte na drewnianych słu-

pach, chwiejące się na wietrze, małe drewniane baraki świadczyły o marnym wyposażeniu obozu. Mimo późnej nocnej pory jakieś komando ćwiczyło „sport obozowy” na śniegu, pod niewielką oświetloną żarówkami choinką. Była to już rozpoczynająca się Wigilia. Jednym słowem zapowiadało się niewesoło. Biedny obóz, o twardym reżimie, w nędznych warunkach i o psiej pogodzie.

Zaprowadzono nas do kancelarii głównej, która mieściła się w pierwszym baraku na prawo od bramy. Nasz SS-man konwojent szedł z nami. Na płaszczu nie miał żadnych oznak, na mundurze też nic. Zwykły Sturmman. Przyszło dwóch więźniów, w tym wysoki Lagrältester i nieduży pisarz. Dał nam małą okrągłą metalową balijkę i konewkę zimnej wody, i kazano się w tym kąpać. Piecyk żelazny już dawno był zupełnie wystygły. Było zimno. Po kąpieli dano nam byle jakie pasiaki i płaszcze i przydzielono nowe numery obozowe. Kolega Żegleń otrzymał numer 1486, a ja – 1487. Zatem obóz był ma lutki. Kiedyśmy tak szczękali zębami, ten sam gruby SS-man, który nas konwojował, wyjął z teczki druki i zabrał się do spisywania naszych „fragebogenów”. Wziąłem go za nadgorliwego kancelistę, nie wiedziałem co to jest za władza. Ta pomyłka wiele nas potem kosztowała...

Spisał nasze nazwiska, daty urodzenia itd., i w pewnym momencie odwraca się i pyta: Alle beide Polacken? Zachnąłem się na przezwisko i odpowiedziałem: Nein! Przeglądnał ponownie dokument, z którym nas na dworcu kolejowym odebrał, i powoli wycedził: Wieso denn? Hier steht doch geschrieben, alle beide Polen. Stimmt das oder nicht? Odpowiedziałem spokojnie: Jawohl, das stimmt. Wtedy wstał, wziął się pod boki i zbliżając się syczał: Na, das verstehe ich nicht – ist das vielleicht ein Unterschied? Na, sag mal! Stańtem na baczność i powiedziałem spokojnie: Jawohl, das ist ein Unterschied. Die Benennung Polacke für einen Polen ist ein Schimpfnahme, das ist so zum Beispiel, wenn ich einen Deutschen nicht ein Deutscher, sondern ein Schwabe, oder ein Germane nenne. Wtedy przyskoczył do nas wysoki BV-er, Lagerältester Schaly Pickiel i fachowo nas znokautował. I zaczął wymyślać. Jak ty, polska świnio, odzywasz się do pana Rapportführera. Dostało się nam wtedy dużo i rzetelnie. Ale kto z nas mógł wiedzieć, że przyjechalśmy do tak marnego obozu, gdzie zwykły Sturmman jest Rapportführerem? Eschner dla odmiany nie był rzemieślnikiem ani robotnikiem, jak większość SS-manów, ale był z zawodu komornikiem sądowym i uważał się za coś lepszego. Uważał, że chciałem sobie z niego zakpić. Stąd jego nie tylko negatywny, ale nienawistny stosunek do nas obu.

Pierwszą noc spędziliśmy na bloku 1, u blokowego Hansa Wessel. W sypialniach nie było jeszcze podłóg. Sala zimna, nie opalana. Spało się po dwóch na jednym cienkim sienniku, ułożonym wprost na piasku. Byliśmy wyspani we Wrocławiu. Przesiedzieliśmy więc w kucki na piasku całą noc. Rano zorientowaliśmy się, że jesteśmy na bloku wśród prawie samych Niemców. W dodatku co drugi nosi różowy winkiel homoseksualisty. Zwariowany obóz. Przy

rannym myciu widzę u jednego damskie podwiązki, u drugiego biustonosz, u innego jakąś damską przypinkę czy kokardkę przy koszuli. Któryś z Polaków objaśnia mnie w kącie półgłosem i równocześnie wypytuje, skąd i dlaczego. Wszędzie niebываły prymityw. Ludzie myją się w małych korytach ustawionych na dworze, między barakami. Wiadro wody musi wystarczyć co najmniej dla 150 ludzi.

Blokowy nas popędza i ogląda. Jako nowi mamy być przedstawieni Lagerführerowi Thumannowi. Mały, drobny, czarny, chudy stolarz, któremu najwidoczniej nie szło w wyuczonym zawodzie, stworzył w mundurze SS-mana typ szczególnego sadysty. Pozował na Napoleona sadyzmu. Kiedy szedł, ludzie w strachu z ust do ust podawali sobie tę straszną wiadomość, że już oto nadchodzi. Wszystko stawało na baczność, trzaskało kopytami, wrzeszczało meldunki, a on kroczył jak wielki wódz, z suką u nogi, bacznie obserwując, czy nie zauważy jakiegokolwiek uchybienia. Za nim szedł zwykle albo sam Lagerältester, albo któryś z blokowych, dźwigając przenośny kozioł (Bock), czyli urządzenie do wymierzania kary chłosty. Jeśli niesiono, to oczywiście używano go. Każdemu takiemu przemarszowi pana Lagerführera przez lagier musiało towarzyszyć bicie i wrzaski. Im bardziej bity wrzeszczał, tym bardziej Lagerführer był zadowolony. Po takiej gimnastyce porannej następowały raporty karne. Z braku bunkra w tym czasie, karę tzw. słupka, czyli wieszania za ręce wykręcone do tyłu, wykonywano na słupach latarni i przewodów elektrycznych przy Lagerstrasse. Widziałem raz trzech takich wiszących i Lagerführera delektującego się widokiem cierpiących. Jak obrazek z epoki Nerona. Pies ćwiczony był do atakowania po wskazaniu palcem na leżącego więźnia. Trzeba się go było bardzo wystrzegać. Nie policzyłbym tych, których cerowałem i leczyłem po tym psie.

Tym razem, zaraz po apelu zaprowadził nas przed oblicze Thumanna Rapportführer Eschner. Wysłuchiwał naszych meldunków po kolei, obszedł dookoła, oglądnął, sprawdził nawet czystość butów, łaskawie zapytał, jak długo w obozie? Półtora roku. Weswegen? Podejrzany politycznie. Offizier? Nein! Ein Ziwilist. Beruf? Ein Mediziner. Mruknięcie: Weg! zakończyło ten przyspieszony dialog. Thumann coś tam jeszcze rozmawiał na boku z Eschnerem. Chyba chodziło o nas, bo zauważyłem, że wskazywał ruchem brody w naszym kierunku, i poszedł.

Po apelu Eschner wezwał nas i kazał iść za sobą. Poszliśmy za bramą obozową w lewo do góry, do baraków SS-mańskich, które znajdowały się nieco powyżej naszej głównej kancelarii. Zaszliśmy do baraku z napisem SS-revier, szpital dla SS. Na korytarzu zostawił nas i coś tam meldował, potem zawołał nas. Wewnątrz było dwóch oficerów. Meldowaliśmy się po kolei starszemu Obersturmführerowi Friedrichowi Entressowi. On właśnie zdawał służbę młodszemu i, jak nam powiedział, wyjeżdża do Oświęcimia. Wyraźnie w Oświęcimiu jeszcze nie był, bo wypytywał, czy to duży obóz, jaki itd. Powiedziałem

mu, że to jest bardzo duży obóz, porządnie zbudowany z cegieł. Więźniów jest bardzo dużo, przeważnie Polacy. Załogi SS bardzo dużo. Nie mogłem się nie odgrzyźć na stojącym obok Eschnerze i dodałem, że na każdym prawie stanowisku spotyka się tam oficerów i podoficerów SS, obóz jest wspaniale urządzony i wyposażony. Potem meldowaliśmy się u młodszego. Był to Untersturmführer Kurt Babor, niski, ale nieznacznie grubszy od Thumanna mały elegancik, pachnący dobrą wodą kolońską. Rozmawiał z nami ze znużeniem. Zaczął egzaminować z zakresu tyfusu plamistego, najpierw Żeglenia, potem mnie. Żegleń opowiadał o zakaźności, o wszach, o szczepieniach, o zapobieganiu, o walce z wszami, o leczeniu. Nasz Lagerarzt zakończył stwierdzeniem... am besten die Läuse und Läuseträger voll vernichten! Potem zapytał doktora Żeglenia, skąd zna tak dobrze język niemiecki. Odpowiedział, że jeszcze z I wojny światowej, z wojska austriackiego. Zainteresowało go to i zapytał, czy jest Austriakiem. Kiedy odpowiedział mu, że jest Polakiem, rzucił mu pogardliwie: Ein Verräter bist du, du alter Saukopf. Poinformował nas, że będziemy pracować jako lekarze z jeńcami rosyjskimi. Jeżeli chcemy, wolno nam przysłać z domu fachowe książki lub czasopisma, pod warunkiem, że będą wydane w języku niemieckim. Było to dla nas nowością i postanowiliśmy z tego skorzystać. Kazał Eschnerowi podziękować panu Lagerführerowi za propozycję, ale on raczej potrzebuje Leichenträgerów niż lekarzy, niech zatem tych dwu nowych prześle do obozu ruskiego, jak to było ustalone. No i ubrać ich czysto i przyzwoicie.

Prosto stamtąd zaprowadzono nas do Bekleidungskammer. Widocznie wszystko było już z góry ustalone, bo mieli już dla nas przygotowane ubrania. Ubrano nas jak cudaków. Nigdy, nigdzie w żadnym obozie nie spotkałem się z czymś podobnym. Spodnie normalne w paski. Marynarki drelichowe białe, jakieś letnie drelichy oficerskie z czasów kajzera Wilhelma. Na rękawach opaska biała z czerwonym krzyżem. Płaszcz w paski z taką samą opaską na rękawie. Czapki z białym denkiem i białym otokiem, i napisem z przodu na otoku czerwonymi literami: „Häftlingsarzt”. Oczywiście i my, i nasze otoczenie traktowało to jako specjalną szykanę. Początkowo więźniowie wybuchali śmiechem na nasz widok. Co złośliwi obchodzili nas dookoła dla odczytania długiego napisu.

Potem zaprowadzono nas do tzw. obozu jeńców rosyjskich, który nazywano potocznie Russenlager. Obóz ten stworzono wewnątrz obozu koncentracyjnego, poprzez przedzielenie obozu, prowizorycznie zbudowanym płotem z drutu kolczastego, na dwie części. Na Lagerstrasse była brama przejściowa, strzeżona, ale mało używana. Zasadniczo kontakt między poszczególnymi obozami był zakazany, dozwolony jedynie dla zatrudnionych tam i dla SS-manów. W odróżnieniu od obozu więźniarskiego, który składał się wyłącznie z małych baraków przystosowanych dla 150 ludzi (5 baraków mieszkalnych, 1 barak biurowy, 1 kuchenny i 2 rewirowe), obóz jeniecki składał się wyłącz-

nie z baraków dużych, tzw. 350-osobowych. Było ich w sumie 4 oraz 1 w budowie. Kuchnia była wspólna. Podzielenie obozu na dwie części miało miejsce w październiku 1941 roku. Wtedy, w dniach 16 i 17 października, przybyło 2500 jeńców rosyjskich.

### **Krótką historia obozu w Gross-Rosen**

Obóz koncentracyjny w Gross-Rosen został założony 2 sierpnia 1940 roku jako małe komando robocze obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen. Przywieziono wtedy samochodami 100 więźniów. Było wśród nich 98 Polaków. Nazwa tego obozu brzmiała: KL Sachsenhausen. Arbeitslager Gross-Rosen. Tak było do 31 kwietnia 1941 roku. Co pewien czas komando uzupełniano nowymi więźniami i mimo śmiertelnych ubytków stan komanda stale wzrastał. Do 31.04.1941 roku zmarło łącznie 175 osób. Stan na dzień 1 maja 1941 wynosił 360 więźniów. Wydano im nowe numery od 1 do 360 i Gross-Rosen stał się nowym samodzielnym obozem koncentracyjnym. Powstał on przy kamieniołomach w Gross-Rosen, Deutsche Erd- und Steinwerke, które były własnością SS, i w założeniu miał być obozem ciężkiej pracy karnej.

Wtedy był to jeszcze obóz mały i nieznan. Więźniowie, poza pracą w kamieniołomach, budowali coraz to nowe baraki i poszerzali obóz. Obóz wzrastał i w latach 1944-1945 stał się olbrzymim ośrodkiem pracy niewolniczej i mordownią wielu narodów.

W dniu mego przybycia do Gross-Rosen stan obozu wahał się w granicach 1000 więźniów i około 500-700 jeńców radzieckich. W czasie kiedy obóz był komandem roboczym Sachsenhausen, od 2.08.1940 do 31.04.1941 r. zmarło i zginęło w obozie 175 więźniów, a około 120 muzułmanów zostało odesłanych do Dachau. Na koniec 1941 roku najwyższym numerem w obozie był 1487. W ciągu 1942 r. przybyło wielu nowych więźniów i w grudniu 1942 roku najwyższy numer obozowy wynosił 6820. Zmarło w 1942 r. około 3241 więźniów. Żyjących w obozie na koniec roku było niewiele ponad 3000, z tego co najmniej 800 chorych. W ciągu 1943 roku stan numerowy obozu wzrósł do około 15 000. W obozie było jednak tylko około 4500 więźniów, z czego około 1500 chorych. Ponadto około 1000 ludzi było już w 4 komandach roboczych. Pewna część została wysłana w stanie wycieńczenia do innych obozów, ale około 53% już nie żyło.

Lata 1940 i 1941 pochłonęły życie 449 więźniów i około 2400 jeńców radzieckich. Następne lata były znacznie gorsze. W 1942 i 1943 roku liczba śmiertelnych ofiar obozu przekraczała 50% stanu obozu, natomiast w 1944 roku ciężar ludobójstwa przeniósł się na podoboz. Życie w obozie macierzystym stało się łatwiejsze.

Odwrotnie przedstawiała się sprawa egzekucji. W latach 1940 i 1941 były one bardzo rzadkie. W roku 1942 egzekucje, jako następstwo wyroku Gestapo czy Sondergericht stawały się coraz częstsze i były wykonywane zarówno na więźniach, jak też osobach cywilnych dostarczanych z zewnątrz. W 1943 i 1944 stały się one zjawiskiem normalnym, prawie codziennym. Każdego dnia grupka skazańców, wywoływana najczęściej podczas apelu rannego, odchodziła w kierunku krematorium. Na osobach przywożonych z zewnątrz, jak więźniowie cywilni, żołnierze itd., wyroki wykonywano strzałem w tył czaszki (Genickschuss) lub nawet przez powieszenie. Zdaje się, że w Gross-Rosen z upodobaniem stosowano podawanie do picia trujących substancji, prawdopodobnie roztworów cyjankali. Wprowadzili to do praktyki obozowej lekarze SS Entress i Babor.

W latach 1940-1942 więźniowie pracowali zasadniczo w kamieniołomach i przy budowie obozu. Prace niezwykle ciężkie. Praca w kamieniołomach i praca przy budowie obozu na kamienistym zboczu górskim były bardzo wyczerpujące. Każdą drogę trzeba było wyrąbać w kamieniu, każde przejście i zejście – to kamienne schodki, każdy plac pod budowę miał formę kamiennych tarasów. A potem trzeba było nawozić ziemię, zakładać zieleń. W takim terenie wszelkie prace kanalizacyjno-instalacyjne tak samo były bardzo utrudnione. W tych latach cały obóz, to było jedno wielkie komando kamieniarskie i każdy, oficjalnie czy poza pracą, miał z tym do czynienia.

Obóz Gross-Rosen był cięższym obozem niż Oświęcim. Może nie pochłonął on tyle ofiar masowego ludobójstwa, bo nie był tak ukierunkowany, ani nie miał urządzeń do tego. Był nastawiony na wyniszczanie ciężką pracą i głodowym wyżywieniem. Do tego dochodziły trudne warunki klimatyczne i inne, a zwłaszcza strukturalno-administracyjne. Już samo zakwaterowanie w nieszczelnych, nie ogrzewanych drewnianych barakach było gorsze. Wyposażenie w wodę i kanalizację było późniejsze i gorsze. Wyżywienie, moim zdaniem, było także gorsze. Rozkradanie jedzenia było większe niż w Oświęcimiu. Rozkradano żywność wszędzie: po drodze, z magazynów, z kopców, z kuchni. Zwłaszcza w kuchni. Kucharze mieli spółki z obieraczami kartofli i zniką stąd zwłaszcza żywność w postaci tłuszczu, końskiej kiełbasy i tzw. dodatków. Wielokrotnie stwierdzałem, że do kotła zamiast 10 czy 15 kostek margaryny idzie jedna, a najwyżej trzy, że porcje dodatków zanizane są w kuchni lub u blokowych do połowy i więcej, i nie można było dojść nigdy sprawiedliwości. Z kuchni więźniarskiej kradli wszyscy. Kotły zupy oficjalnie były wożone dla świń. SS-mani mający psy, jak Thumann, lekarze obozowi, oficjalnie posyłali na kuchnię po jedzenie dla psa i otrzymywali najlepsze części mięsa itd. Kucharze kradli i handlowali z kapami. Blokowi kradli dla swoich kolegów Niemców, a tych w Gross-Rosen było bardzo dużo. Oczywiście, nie za darmo. Handlowali tym. Na blokach okradano w sposób prawie oficjalny. Były mniejsze chochle do wydawania zupy, mniejsze łyżki do wydawania

melasy, smalcu czy marmolady. Margarynę dzielono na większą liczbę porcji. Oczywiście, te rzekomo małe ilości, nawet 50 czy 100 kalorii, odbierane co dzień wygłodzonemu człowiekowi, powiększały codzienny deficyt odżywczy organizmu i przyspieszały załamanie.

Traktowanie w Gross-Rosen było złe. Przykład szedł z góry. Thumann był nienormalnym sadystą. Obrazuje to doskonale ten, niespotykany w innych obozach, jego rytualny codzienny spacer lustracyjny przez obóz, w otoczeniu odgórnej świty. Niesiono za nim, jak atrybuty jego nieograniczonej władzy, kozła do wymierzania kary chłosty i zapas bykowców. Podobnie zachowuje się jego naśladowca i wierny uczeń, Rapportführer Eschner. Chyba nawet prześcignął mistrza. Podstępny, chytry, a przy tym posiadający średnie wykształcenie, wypracowuje swą metodę. Wszystko opracowuje z góry. Ofiarę hipnotyzuje przesywającym wpatrywaniem się i krążeniem dookoła, poraża trwogą. Kiedy już się nasyci strachem ofiary, następuje seria nokautujących ciosów. To przecież jest łatwe. Więzień nie może się nawet zasłonić. W obozie ma całą sieć szpiclów. To nie jest trudne. Bardzo dużo jest BV-erowskich więźniów niemieckich, a każdy chciałby władzy, żeby nie pracować i żreć do syta. Tak więc obaj odgórni władcy obozu Gross-Rosen nie wstydzieli się na co dzień osobiście uczestniczyć w akcjach mordowania i bicia, co przecież dla podoficera i oficera było czynem niezbyt pochlebnym. Ten odgórny przykład rzutował na cały obóz. Tak samo podchodzili do sprawy niżsi SS-mani, jak Blockführerzy, tak też robili kapowie, blokowi i ich pomocnicy. Bicie, terror i mord na każdym kroku. Liczba zabitych codziennie w komandach i na blokach była często wyższa niż liczba zmarłych tego dnia w rewirze.

W Gross-Rosen nie stosowano na większą skalę ludobójstwa chorych i zmużnionych więźniów. Nie było jeszcze do tego odpowiednich urządzeń. W pierwszej połowie 1944 roku rozpoczęto budowę 2 komór gazowych, jednak w bałaganie spowodowanym ewakuacją Majdanka, a potem Oświęcimia, nie ukończono tej budowy. Ale i w Gross-Rosen już w zimie 1941/1942 stosowano zabijanie jeńców radzieckich za pomocą podstępnego podawania im do picia kropli „nascercowych”, złożonych z roztworów soli cyjanowych, po których śmierć następowała w ciągu kilkudziesięciu sekund. Mówi o tym w swoich zeznaniach przed sądem, w 1960 r. w Hamburgu, Oberscharführer Layer, z byłej załogi SS w Gross-Rosen. To zabijanie zostało wprowadzone przez lekarza SS Friedricha Entressa, a kontynuowane było przez drugiego Lagerarza Kurta Babora. Ale i w tym obozie chodziły słuchy, że jesienią 1941 roku robiono próby z zabijaniem chorych na rewirze, podobnie jak w Oświęcimiu. Opowiadał mi o tym były sanitariusz rewirowy Stanislaus Krause, Niemiec i BV-er. Ja osobiście znam tylko jeden przypadek zabicia 10 chorych na gruźlicę, za pomocą zastrzyków fenolu, które w krematorium w Gross-Rosen wykonał SS-Hauptscharführer Dehnel. Sam wydał decyzję, bez powiadomienia Lagerarza, i sam wykonał zastrzyki. Było to w końcu września 1943 roku.



Profesor Kornel Gibiński, jako jedyny spośród lekarzy rewirowych w Gross-Rosen, podaje, że w podobozie Bautzen jeden z Blockführerów, dla popisywania się przed kolegami, mordował muzułmanów zastrzykami fenolu do cisterna magna cerebri. Na szerszą jednak skalę masowego sztucznego ludobójstwa na co dzień w Gross-Rosen nie stosowano.

### **Obóz jeniecki w Gross-Rosen**

Do Gross-Rosen jeńcy radzieccy przybyli transportem kolejowym w dniach 16 i 17 października 1941 roku. Przybyli ze stalagu VIII F nr 318 w Lamsdorf koło Opola. Opowiadali o bardzo trudnych tam warunkach bytowania pod gołym niebem. W Gross-Rosen umieszczono ich w odgradzonej części obozu, gdzie znajdowały się 4 duże nowo wybudowane baraki oraz 1 w budowie, o numerach 6, 7, 8, 9 i 10. W baraku 6, w tzw. umywalni wstawiono kadź żelazną, o wymiarach 120 x 150 cm i wysokości 120 cm. Kadź ta, po wypełnieniu wodą z dodatkiem lizolu, służyła do kąpieli jeńców. Na dworze ich rozbierano i strzyżono, a potem kąpano po 6-10 ludzi na raz. Tylko w baraku nr 6 były drewniane trójetażowe łóżka, inne baraki były bez łóżek. Część baraku 10, jedno skrzydło, było przeznaczone na rewir.

Na terenie obozu jenieckiego znajdowała się druga, tzw. tylna brama obozowa (Hintertor). Tamtędy można było przejść do koszar i części zamieszkałej przez SS, do kamieniołomów i do krematorium. Jeńców tą bramą wyprowadzano do pracy i w nieznaną, np. do likwidacji.

Nadzór nad obozem jenieckim w Gross-Rosen objęła komendantura obozu koncentracyjnego. Nie było oddzielnego dozoru Wehrmachtu. Ponieważ Wehrmacht dostarczał tych jeńców do obozu, stąd powstały mylne zapodania. Kierownikiem obozu został, oczywiście, Lagerführer Thumann. Rapportführerem obozu jenieckiego i 2. Rapportführerem obozu został Eschner, który był wtedy jeszcze prostym SS-manem, rozpoczynającym swoją karierę obozową. Blockführerami w tym obozie zostali Rottenführerzy: Juchelek, Klütsch, Bartsch, Schrammel. Na tylnej bramie pełnili oni na zmianę służbę wachmana, poza tym służbę pełnił tam jeszcze Rottenführer Hanke i Unterscharführer Gallasch. SDG w obozie jenieckim i więźniarskim był tylko jeden, SS-Unterscharführer Fritz Schultze lub Kurze. Często nazwisko to myli się z dentystą SS-Untersturmführerem Kurze. Lagerälteste i blokowym bloku 6 był jeden z najpodlejszych bandytów, BV-er Georg Prill. Blokowym bloku 7 był elegancki BV-er Emil Radke. Obaj zresztą byli homoseksualistami, ale swych różowych znaczków nie nosili. Innych blokowych nie znam. Gdy przybyłem do obozu już tylko dwa bloki były czynne. Na blokach 6 i 7 znajdowało się 24 grudnia 1941 r. jeszcze niewiele ponad 500 jeńców, a w rewirze ponad 100.

W obozie tym panował bardzo ostry rygor, utrzymywany przy pomocy dobrze odżywionych stubendienstów. Nocami podobno odbywały się orgie

homoseksualne. Do tutejszych blokowych przychodzili koledzy z drugiego obozu. Ofiary po prostu mordowano. Niejednokrotnie rano dostarczano zwłoki młodych ludzi z połamanymi obojczykami, zdeptanych na śmierć. Do pracy przydzielano jeńcom najgorszych BV-erów za kapów. Stosowano też, dobieranych spośród jeńców, vorarbeiterów (pomocników), ale trzeba ich było często zmieniać za nieudolność w biciu. Bicie, krzyki i terror towarzyszyły pracy. Pracowali wszyscy w kamieniołomach.

Powtórnych przesłuchań, jak w Oświęcimiu, tu nie stosowano. Również na początku spisywano bardzo pobieżnie fragebogeny i kartoteki ewidencyjne. Spisywano to po blokach. Niemniej i tu były stosowane dalsze selekcje. Prawdopodobnie na podstawie obserwacji lub szpiclowania, wybierano co pewien czas ludzi, którzy mieli większy posłuch u kolegów. Nazywano ich sierżantami albo komisarzami i pod pozorem transportu do innych obozów zabierano z obozu, zawsze już po zapadnięciu zmroku. Wychodzili tylną bramą, a za nimi szedł zwykle Lagerarzt ze swym SDG lub sam SDG. W te nocne transporty przestali wierzyć także i koledzy wyjeżdżających. Było wiele istotnych przyczyn. Jeńcy znali się dobrze, znali też dobrze swoje umundurowanie. Zdarzało się, że ktoś potrzebował zmiany spodni czy płaszcza i otrzymywał z magazynu część umundurowania, którą on rozpoznawał niezawodnie jako własność kolegi, który wyjechał w transport. Ponadto przewożono kilkakrotnie stopy umundurowania z krematorium do magazynów. Skąd się tam wzięły mundury, jeśli do krematorium przewożono jedynie nagie zwłoki, nikt nie wiedział. Na przełomie grudnia i stycznia byłem raz świadkiem takiej selekcji przed blokiem 6. Thumann i Eschner przechodzili przed pojedynczymi szeregami jeńców i ruchem ręki wyznaczali co lepszych (jak mniemałem wówczas) do transportu. Kazano oczyścić się i przygotować do transportu. Jak się ściemniło, zarządzono blocksperę i wyprowadzono ich z obozu bramą tylną. Potem w tym samym kierunku poszedł Lagerarzt Babor z SDG Schultze. Czeakałem przed blokiem. Nie słyszałem żadnych strzałów ani odgłosów. Nie wiem, jak ich likwidowano. Było ich kilkudziesięciu, podobno 78.

Umundurowanie wydano jeńcom zaraz po przyjęciu i po kąpieli. Podobnie bieliznę. Nie stosowano szykan z umundurowaniem, jak w Oświęcimiu. Mundurów jenieckich nie wolno było używać więźniom. Dopiero w 1944 roku, po wymalowaniu farbą olejną pasów, wydawano je więźniom. Bielizna i buty jeńców radzieckich w znacznej części były w dobrym stanie. Zwłaszcza buty były lekkie i mocne. Jeńcy ginęli gwałtownie, ubiory te zostawały. Niedługo prawie cały obóz chodził w rosyjskich butach i bieliźnie, buty z cholewami nosili wyłącznie kapowie.

Od pierwszego dnia po przybyciu jeńców radzieckich do obozu Gross-Rosen zapanował niesłychany terror, krzyki, bicie i mordercze tempo pracy, przy głodowych racjach żywnościowych. Już w pierwszym dniu, podczas przyjmowania więźniów, zginęło od bicia 20 osób. W następne dni ginęło 25 do 100 osób

dziennie. Tak podaje jeden z nich, Igor Gurewicz, który ocalał jedynie dlatego, że był potrzebny jako tłumacz. Śmiertelność w jenieckim obozie była ponad 10 razy większa niż w obozie więźniarskim. Wszyscy byli przekonani, że jeńców przysłano tu na wykończenie. Zatrudniono ich wyłącznie w kamieniołomach, przy najcięższych pracach. Nie wolno było zatrudniać ich przy żadnych urządzeniach mechanicznych. Zawsze po pracy musieli nosić do obozu ciężkie kamienie do dalszej rozbudowy obozu.

Wyżywienie jeńców było jeszcze gorsze od wyżywienia więźniów. Zmniejszone były racje chleba, zupy gorsze i bardziej wodniste. Rano 500-gramowa chochla zupy awo. W południe około 600 gram cienkiej zupy brukwiowej, wieczorem około 175 gram chleba (jeden bochenek 1400-gramowy komiśniaka na 8-10 ludzi) oraz pół litra ciemniejszego płynu nazywanego kawą lub nieco jaśniejszego nazywanego herbatą. Do tego dochodziły pięć razy w tygodniu następujące dodatki: pół łyżki marmolady, tj. 25 gram, lub 10-15 gram margaryny, tj. kostka 500-gramowa margaryny na 30-50 ludzi. Obliczona kaloryczność dzienna wahała się w granicach 750-850 kalorii.

Normy żywieniowe dla jeńców radzieckich ogłoszone w rozkazie OKW z dnia 6.08.1941, były następujące:

Na 28 dni, tj. 4 tygodnie, przyznaje się jeńcom rosyjskim następujące normy żywienia: 6 kg chleba, 400 g mięsa, 440 g tłuszczu, 600 g cukru.

Zatem normy dzienne były następujące:

200 g chleba á 1,78 kal. = 356 kal.

13 g mięsa á 1,6 kal. = 16 kal.

14,5 g tłuszczu á 7,62 kal. = 100 kal.

30 g cukru á 3,96 kal. = 120 kal.

Razem = 596 kal. przydziałowych

Do tego doliczyć można to, co maksymalnie jeniec mógł jeszcze w jedzeniu swym otrzymać, a mianowicie:

około 200 g kartofli á 0,78 kal. = 156 kal.

około 200 g brukwi á 0,34 kal. = 70 kal.

około 50 g mączki awo á 3 kal. = 150 kal.

Razem kalorii przydzielonych przez Wehrmacht i dodanych przez obóz (praktycznie) mogło być  $596 + 370 = 966$  kalorii dziennie.

Wiemy jednak ze smutnego doświadczenia, że nawet te drobne przydziały były jeszcze okradane i to z najwartościowszych produktów, a mianowicie tłuszczu i cukru.

Szpital jeniecki, czyli tzw. rosyjski rewir, mieścił się w połowie dużego baraku 10, w skrzydle południowym. 24 grudnia 1941 chorych było ponad 100. Łóżek nie było. Obsługi sanitarnej ani żadnego wyposażenia nie było. Nie było leków, nie stosowano żadnego leczenia. Wolno im było leżeć na siennikach pod cienkim kocem, oczekując śmierci. Rany zawijano sobie przygodnie znalezionymi szmatkami lub kawałkiem podszewki wyrwanej z mun-

duru. Nie było żadnego wyposażenia, żadnego instrumentu, nawet termometru. Nie prowadzono żadnej dokumentacji, ani książki stanu dziennego, ani książki zgonów.

Poszliśmy do rewiru więziarskiego, aby wyprosić nieco lekarstw i opatrunków. Trochę dali, ale raczej wyśmiewali się z naszych cudaczych uniformów. W rewirze siedzieli na ciepłych posadkach sami niemieccy bandyci, ledwo umiejący się podpisać. Wypowiadali się autokratywnie na temat chorób i leczenia, jak urodzeni lekarze. Uważali, że tym czerwonym diabłem ruskim nic się nie należy. To już wiele dla nich, że Niemcy pozwalają im w spokoju i pod dachem umierać. Nie było co rozmawiać.

Od blokowego Prilla, po dłuższych targach, otrzymaliśmy należny przydział opałowy, po 18 sztuk brykietu dziennie na piecyk w baraku. Niewiele mogliśmy więc pomóc. Przebadałiśmy jednak wszystkich chorych. Nie stwierdziliśmy tyfusu płamistego, o którym się wiele mówiło. Ludzie po prostu byli wygodzeni do ostatecznych granic. Istne szkielety poobciąpane skórą, niezdolne do jakiegokolwiek ruchu. Takich straszliwie wycieńczonych cieni ludzkich leżało na podłodze ponad 100. Jeśli ktoś potrzebował na stronę, podstawiło się mu kubel i sadzało się go tam z wysiłkiem. Śmiertelność była zastraszająca. Około 25 na dobę. Po prostu co chwilę ktoś po cichu umierał. Ponadto codziennie znoszono zabitych lub zmarłych z bloków. Niektórzy byli, co od razu było widać, zabici, zaduszeni, zdeptani na śmierć. Z pracy przynoszono też codziennie takich samych. Pobici, zdeptani, z połamanymi zębami. Nie było nawet komu meldować, do nas nikt nie przychodził, ani lekarz, ani SDG. Meldunki za nas prowadził Prill. My tylko stawaliśmy na lewym skrzydle do apelu, jako komandiert z drugiego obozu. Rapportführer Eschner chodził zadowolony. W Gross-Rosen było wówczas tylko małe połowe krematorium. Ulegało ono bardzo często awarii i miało znaczne przestoje. Wydolność tego piecyka wynosiła 30 do 40 zwłok na dobę. Nadmiernie eksploatowane psuło się. Krematorium było dlatego przepełnione zwłokami, które co pewien czas wywożono w nieznanym kierunku. Po wojnie kontrola ksiąg kremacyjnych przy krematorium cmentarnym w Legnicy ujawniła, że spalano tam także zwłoki jeńców wojennych z obozu w Gross-Rosen w grudniu 1941 i styczniu 1942 roku. Z zapisów tych wynika, że kremowano tam następujące liczby zwłok w dniach: 15.12.41 – 46, 18.12.41 – 106, 23.12.41 – 127, 30.12.41 – 256, 5.01.42 – 177, 12.01.42 – 80, 13.01.42 – 74, 25.01.42 – 40, 30.01.42 – 52. Razem w grudniu 1941 i styczniu 1942 spalono tam 958 zwłok jeńców rosyjskich z obozu w Gross-Rosen.

Niedługo po Nowym Roku 1942, w każdym razie jeszcze kilka dni przed komisją lekarską z Berlina, która była w obozie 19 i 20 stycznia, a więc na pewno w pierwszej połowie stycznia, nastąpiło wydarzenie, które na zawsze pozostało w mojej pamięci. Po apelu wieczornym przyszli z obozowego rewiru następujący niemieccy sanitariusze: kapo rewiru Hermann Lösche BV oraz

sanitariusze (niemieccy, mimo polskich nazwisk) Franz Grabowski BV, Bruno Saroki BV, Stanislaus Krause BV. Z polecenia Lagerarza Babora, Lösche kazał nam natychmiast przejść do rewiru więźniarskiego i przespać się na wolnych łózkach. W drodze mineliśmy się z idącymi do rosyjskiego obozu Lagerarzem Kurtem Baborem, SDG Schultzem lub Kurzem i Rapportführerem Eschnerem. SDG Schultzego pomawiano już wówczas o podawanie chorym trucizny, po której umierali. Podobno stosował to szczególnie w stosunku do tych chorych, którzy mieli złote zęby. Mam wrażenie, że chodziło tu o próby z uśmiercaniem chorych, podobnie jak i w Oświęcimiu jeszcze w czerwcu, po wybuchu wojny z ZSRR. Widocznie takie było zarządzenie dla obozów, gdzie miały trafić transporty jeńców radzieckich. Potem, w lutym 1942, SDG Schultze odszedł. Wyrażano się o nim źle. Zwłaszcza źle mówił o nim Lagerzahnarzt Untersturmführer Kurze. Mówiono o nim jako o złodzieju i bandycie. Miał podobno mieć proces.

Nie przeczuwaliśmy wtedy, co się stanie. W rewirze ogólnym mogliśmy nieco dowiedzieć się od innych sanitariuszy niemieckich o stosunkach i warunkach tam panujących. W rewirze wtedy nie pracował jeszcze ani jeden Polak. Najbardziej rozmowny był stary Adolf (nazwiska nie pamiętam), emerytowany żołnierz Legii Cudzoziemskiej, naturalizowany Francuz. Z żołnierską szczerością opowiedział mi wiele spraw zakulisowych, które potem mi się przydały. Poza tym był on prawie jedynym niemieckim sanitariuszem, któremu nie mam wiele do zarzucenia. Był gadatliwy, ale swą robotę wykonywał po żołniersku i pracował pilnie i dobrze.

Następnego dnia poszliśmy na apel ranny do jenieckiego obozu. W naszym rewirze nie zastaliśmy nikogo. Natomiast w drugim skrzydle tego samego baraku zastaliśmy stopy nagich zwłok, prawie dwa razy więcej niż mieliśmy chorych. Na wierzchu i tuż przy drzwiach sypialni, bo w tagesraumie nie było nikogo, leżeli nasi chorzy, co poznawaliśmy po twarzach i po opatrunkach. Nie widać było żadnego gwałtownego działania. Nie było oznak bicia, nie było śladów po zastrzykach. Ale nie było też oznak spokojnej śmierci. Wszystkie zwłoki leżały jakby powyginane, z grymasem bólu na twarzy, zwłoki lekko sine jak przy duszeniu, oczy otwarte robiły niesamowite wrażenie. Podczas apelu okazało się, że liczba jeńców znacznie zmalała i wynosiła już jedynie około 100 ludzi. Była cisza, nikt nie rozmawiał. Wszystkie twarze były skupione i przygnębione. Tego dnia do pracy nie poszli. Jedni sprząтали śnieg, bo w nocy napadało, inni, kilkadziesiąt osób, wywozili na saniach zabitych kolegów do krematorium. Mówili, że tam całe góry zwłok czekają na spalenie. Żegleń, który nadzorował wywożenie zwłok stwierdził, że było ich ponad 220. Niedługo potem przyszedł do mnie, pod pozorem porady lekarskiej, niemiecki sanitariusz Stanislaus Krause. Mimo polskiego imienia i nazwiska, nie mówił po polsku. Był niemieckim przestępcą pospolitym, jako złodziej mieszkaniowy. Rozumiał natomiast i mówił trochę po rosyjsku. Nie wiem skąd

pochodził. Pracował jako sanitariusz w rewirze, ale potem, na własną prośbę, odszedł do pracy w komandzie, twierdząc, że się do pracy sanitarnej nie nadaje. Przyszedł i opowiedział mi, jak to się odbyło. Nie wyrażałem wtedy o tym własnej opinii, ponieważ nie znałem jeszcze człowieka i nie wiedziałem po co mi to opowiada, tym bardziej, że lekarz niemiecki odesłał nas, abyśmy nie byli świadkami.

Najpierw Lagerarzt Babor, w obecności Lagerführera Thumanna i Eschnera, dokonał przeglądu wszystkich jeńców przed blokiem 6, wyselekcjonował ponad 120. Zaprowadzono ich do rewiru i w tagesraumie kazano rozebrać się do naga, do badania lekarskiego. Potem przechodzili nago pojedynczo do drugiego skrzydła, gdzie siedział Lagerarzt Babor ze słuchawkami na szyi. Przykładał słuchawkę do serca i dysponował ile kropli lekarstwa należy jeńcowi podać. Zwykle dysponował 30 kropli. Wtedy Hermann Lösche nalewał z butelczki około pół łyżeczki jakiegoś płynu i dla przekonania się, że krople zostały połknięte, zapytywał jeńca o nazwisko. Familia? Kiedy ten odpowiedział, dwóch sanitariuszy brało go pod ręce i wyprowadzało za drzwi do sypialni, gdzie układali go na podłodze i tak dogorywał. Podobno nikt nic nie krzyczał, wyszczerzał zęby, rozkładał ręce i z grymasem na twarzy umierał. Śmierć następowała po kilkudziesięciu sekundach. W ten sposób, po zabiciu ponad 120 jeńców doprowadzonych z bloku, pod pozorem badania przyprowadzono i zabito wszystkich chorych z rewiru. Trwało to ponad 2 godziny. Nie wie, co to był za płyn. Dostarczył go z SS-rewiru SDG. Przyniósł go w okrągłej 1-litrowej butelce, z nalepką fabryczną – sympatol. Taką butelkę widywałem później niejednokrotnie u Lagerarza lub SDG, zwłaszcza gdy szli do krematorium lub wracali stamtąd po wykonaniu wyroku. Była to butelka 1-litrowa, okrągła, podzielona wrębami o szerokości 1 cm na trzy równe części. Na środkowej części mieściła się fabryczna etykiетка kropli nasercowych, z napisem sympatol. Ponieważ widywałem taką butelkę przez ponad rok i w tym czasie zmieniały się te butelki, i były nowe z nowymi takimi samymi etykietkami, mam prawo przypuszczać, że trucizna ta musiała być dostarczana w gotowym do użycia stanie. Wydaje mi się, że w Gross-Rosen przeważająca część wyroków była wykonywana właśnie w ten sposób, przez podawanie trucizny, a nie za pomocą zastrzyków. Miał to być silny roztwór cyjankali. Każdy obóz miał swoją własną specyfikę zabijania. Potwierdza to zeznanie SS-Unterscharführera Layera z załogi Gross-Rosen, złożone w sądzie w Hanowerze w 1960 roku, że w Gross-Rosen stosowano zabijanie za pomocą trucizn doustnych.

W ten sposób rewir jeniecki został właściwie zlikwidowany. Ogólna liczba pozostałych jeszcze przy życiu jeńców spadła do około 100. Zostali oni teraz zatrudnieni przy lżejszych pracach i otrzymali wyżywienie nieco lepsze, w każdym razie takie samo jak wszyscy więźniowie. W rozkazie na apelu zabroniono bicia ich, tak jakby przedtem robili to wbrew rozkazowi. Nieco odżyli. Do nas przychodzili czasem po poradę, ale jak ognia bali się leżenia w rewirze.

Wróciło do nich życie i radość. Chodziłem nieraz na ich blok, posłuchać ich pięknych śpiewów.

Abyśmy nie próżnowali, zatrudniono nas z dr. Żegleniem przy sprzątaniu, zamiataniu i odśnieżaniu obozu jenieckiego. Byliśmy nadal odizolowani od reszty obozu. Czasem przychodzili do nas, zwłaszcza do dr. Żeglenia, bo jako starszy wiekiem budził zaufanie, po porady różni prominenci lagrowi, przeważnie na stanowiskach funkcyjnych. Najważniejszym zajęciem dla nas stało się zorganizowanie w ciągu dnia kilku kartofli z pobliskich kopców i wyszukanie paru szczap, aby wieczorem po cichutku upiec je w piecyku.

Opowiadano nam, że 19.01.1942 w obozie pracowała przez dwa dni komisja lekarska, z polecenia Inspektoratu Obozów Koncentracyjnych w Berlinie, w związku ze wzmożonymi zachorowaniami na tyfus. Podobno były też przypadki wśród SS. Komisja ta posiadała następujący skład: Untersturmführer Thumann, adiutant komendanta obozu Oberscharführer Rudolf Suttrop, Lagerarzt Untersturmführer Kurt Babor i przedstawiciel Inspektoratu SS-Obersturmführer Kurt Menecke. Komisja ta przeprowadziła selekcję w obozie. Była to już druga selekcja. Pierwsza była w czerwcu 1941 roku. Wtedy odesłano 104 chorych więźniów do Dachau. Obecnie wybrano z tym samym przeznaczeniem 214. Nie wyjechali oni jednak od razu. Prawdopodobnie przeszkodziła w tym, zarządzona przez Berlin, kwarantanna całego obozu na 6 tygodni, z powodu zagrożenia tyfusem plamistym. Potem z dalszej korespondencji wynikało, że wyznaczeni mają wyjechać do Bernburga i drogą korespondencyjną ustalono termin na 18 marca. Wyjechało ich wtedy tylko 127, gdyż inni wrócili do pracy lub w międzyczasie pomarli. Oczywiście nikt z nas wtedy nic nie wiedział jeszcze, że jadą do zakładów eutanazyjnych, ani o tym, co tam się działo.

Od 1 lutego zarządzono niespodziewanie 6-tygodniową kwarantannę obozu. Zmieniono z dnia na dzień Lagerarza. Dokąd odszedł Babor, nie wiem. Nowy lekarz obozowy, w randze Obersturmführera, nazywał się Schmits lub Schmiedt. Był on na okres kwarantanny najwyższą władzą obozową. Odbywały się ciągle jakieś przeglądy lekarskie. Izolacja między obozami została zaostrzona. Po obozie chodził tylko Lagerarzt ze swoimi pomocnikami. Innym SS-manom nie wolno było wchodzić do obozu. U nas, jeńców przeniesiono na dalszy blok nr 7, przesunięto druty i barak 6 ze swą słynną kadzią do kąpieli udostępniono dla kąpieli całego obozu. Rozpoczęła się dezynfekcja i odwszawianie całego obozu. Więźniowie i jeńcy całymi dniami czyścili się, iskali i wtedy naprawdę w obozie mało było wszy. Do zabiegów przychodziły bloki po kolei. W barakach pozostawiano ubrania i koce rozłożone przeważnie na podłodze i na siennikach. Ludzie nago przychodzili do bloku 6. Tam ich strzyżono, kąpano, nacierano cuprexem itd. Tymczasem baraki, po zaklejeniu okien i drzwi, były przegazowywane za pomocą spalania jakiegoś preparatu siarkowego, mocno cuchnącego. Baraki z desek, budowane bez odpo-

wiedniego uszczelnienia, nie mogły zagwarantować właściwego przegazowania. Po dezynfekcji nadal stwierdzano na blokach insekty, zwłaszcza w pościeli, tzn. w kocach. Kąpiel w słynnej grossroseńskiej kadzi była mocno problematyczna. Do tej olbrzymiej kadzi wlewano 1 kocioł z kuchni gorącej wody, a resztę dolewano zimnej. Tak więc woda w sumie była zimna, mydło Rif podłe i niepieniące. Do wody dolewano zaś jakiś czarny cuchnący płyn, z braku lizolu. Płyn ten nie rozpuszczał się w wodzie, osiadał na skórze i kąpiący się wychodzili z cuchnącymi cresolem plamami na ciele. Taka dezynfekcja trwała około 2 tygodni. Potem w ten sam sposób przeprowadzono dezynfekcję jenieckiego obozu.

Kwarantanna obozu nie trwała pełnych 6 tygodni, jedynie nieco ponad cztery. W sumie trochę ludzie wypoczęli. Śmiertelność w obozie zmalała, z przeciętnej poprzednio do 3 osób dziennie do 1 osoby dziennie w lutym. Mówiono wówczas, że podczas kwarantanny wytruto wtedy wszystkich chorych na tyfus. Nie wydaje mi się to prawdą. Według mnie, infekcja w SS została skądinąd zaciągnięta, a w obozie jeszcze wtedy tyfusu plamistego nie było. Dopiero zapanował on na przełomie 1942 i 1943 roku. Nie mogłem dojść prawdy nawet i później, kiedy już pracowałem w rewirze. Wtedy nie prowadziło się jeszcze żadnej księgi zgonów. Posyłano jedynie codziennie do SS-rewiru kartkę ze spisem zmarłych. Nawet nie wpisywano przyczyn zgonów. Tam robili to sami. Zajmował się tym w SS-rewirze niemiecki więzień polityczny Werner Jacobi. W Gross-Rosen prowadzono uproszczony sposób meldowania o zgonach, bez tak wielu drobiazgowych opisów, jak to czyniono w Oświęcimiu.

W pierwszej dekadzie marca wszystko wróciło do normy, a ludzie poszli do pracy. Jeńców zostało już tylko 89 i stan się nie zmieniał. Pracy medycznej nie mieliśmy właściwie żadnej. Chodziliśmy nadal w swoich cudacznych ubraniach, a byliśmy zatrudniani przez blokowego Prilla do najgorszych i najbrudniejszych prac. Wywoziliśmy kubły z nieczystościami (bloki jeszcze nie były skanalizowane i w nocy używano kubłów), zamiataliśmy ulice i wywoziliśmy resztki śniegu. Z powodu naszych opasek i czapek, przy tej pracy byliśmy wyszydzeni i wyśmiewani. Pewnego dnia przyłapał nas Eschner, rzekomo opartych tylko na łopatach, a nie pracujących. Stwierdził, że sabotujemy pracę i natychmiast powiódł nas do karnego raportu do Thumanna. Sprawa wyglądała groźnie.

Pod drzwiami Thumanna kazał nam czekać, a sam wszedł i coś tam meldował. Umówiliśmy się, że będziemy tylko odpowiadać na pytania krótko, głośno i prosto oraz służyć się meldować. Wobec powyższego, kiedy nas zawołano, poprosiłem najpierw dla siebie i jeszcze jednego o pozwolenie wejścia i dopiero kiedy skinął głową, weszliśmy i rozpoczęliśmy służbiste meldowanie. Thumann stał koło biurka i obserwował nas. Potem podszedł z wolna, ujął nas za patki kołnierzy i stukając naszymi głowami o siebie zaczął cichym syczącym głosem: *Ihr verfluchte polnische Vögelchen! Ihr wollt nicht*



arbeiten? Ich werde euch was lernen! Ich werde euch was zeigen! Suka stała obok niego i tylko czekała kiedy jej rozkaże skoczyć. Ale nie kazał. Puścił nasze kołnierze i zwracając się do mnie zapytał: Du Schwarze! Was machst du eigentlich den ganzen Tag durch? Wyprężyłem się i zameldowałem, że właściwie przez cały dzień nic nie robimy. Zaskoczyło go to i jeszcze raz zapytał: Was? was? Odpowiedziałem, że zgodnie z jego poleceniem zostaliśmy ubrani i oznakowani do pracy jako sanitariusze lub lekarze, ale do tej pracy nas nie dopuszczają, ale każą nam wynosić nieczystości i wykonywać najgorsze prace, a to nie jest na pewno polecenie pana Lagerführera. Poza tym z naszego bloku nie zawsze przysyłają nam jedzenie i musimy kraść kartofle, żeby jeść. Podszedł teraz do Żeglenia i zapytał, czy to prawda. On potwierdził. Kazał nam wyjść. Usłyszeliśmy tylko, wychodząc, jak pytał Eschnera: Und was hast du mir gemeldet?

Czekaliśmy pod drzwiami z 10 minut. Była tam jakaś głośna rozmowa, ale nic nie zrozumieliśmy. W drodze powrotnej Eschner był zły, ale nie odezwał się ani słowem, a od bramy odesłał nas jednym słowem: Weg! Po południu przyszedł Lagerältester Schaly Pickel i z polecenia Lagerführera zlecił nam nową pracę. Od jutra rana, od apelu do apelu, mamy spełniać dodatkowe czynności, a mianowicie obsługiwać tzw. Wachstuby przy bramach obozowych. Żegleń dostał bramę główną, a ja tylną, gdzie ruch jest znacznie mniejszy. Ponadto wieczorami, po apelu mieliśmy nadal wykonywać nasze czynności lekarskie w obozie jenieckim.

Teraz od rana do wieczora staliśmy w bramach obozowych, gotowi na każde skinienie SS-mana na służbie. Zamiataliśmy wachstubę, sprzątaliśmy otoczenie, nawet często czyściliśmy Blockführerom buty. Jeden z nich, Hanke, bauer ze wsi i strasznie głupi człowiek, opowiadał swoim kolegom i pokazywał wyczyszczone buty, i chwalił się, że buty wyczyścił mu polski lekarz. Nie mogłem wytrzymać i udając głupiego powiedziałem: Tak jest panie Blockführer! Jak capo Prill każe mi czyścić Scheissküsty, to zawsze mnie chwali, że to dobrze robię. Byłby mnie chyba sprzał, ale inni tak się uśmiali, że mu bić nie wypadało. Od tego jednak czasu on jeden nie dawał mi już butów do czyszczenia. Napatrzyłem się przez trzy miesiące tej ich pracy na bramie i z bliska ich postępowaniu.

Najgorszymi w bramie byli Juchelek, Gallasch i Klütsch. Spokojniejsi znacznie byli Bartsch, Hanke i Schrammel. Co dnia przylapywano jednak po kilku ludzi mających w kieszeni kawałek kartofla czy brukwi. Wtedy odbywało się ciężkie bicie lub sport karny. Pracowałem trzy miesiące przy bramie od strony krematorium. Był to okres ciężkiego głodu w obozie. Często całe komanda były przeszukiwane przy bramie. Nigdy nie widziałem ani nie słyszałem o opisywanym przez niektórych autorów przenoszeniu niedopalonych kości lub innych odpadów z krematorium. Według mnie są to rzeczy zmyślo-

ne. Natomiast często widziało się, jak komanda skręcające na trawę wyrwywają ją aż z korzeniami i zjadają.

Taki stan trwał do czerwca 1942 roku. Do obozu przybywały już coraz częstsze transporty nowych więźniów, niektórzy po raz pierwszy, wprost z więzień. Dawniej takich transportów nie było. W obozie robiło się ciasno. Tymczasem w obozie jenieckim stały puste baraki. Chorych prawie nie było. Rewir został przeniesiony do bloku 8. Tam potworzono „lewe” warsztaty rzemieślnicze: krawiecki, szewski i zegarmistrzowski. Warsztaty te pracowały wyłącznie dla SS-manów, w tym i dla komendanta, i dla Lagerführera. Krawcy przeważnie nicowali i naprawiali mundury, przerabiali także ubrania cywilne, zapewne po zmarłych. Działo się to jednak w głębokiej tajemnicy, przy stałe zamkniętych drzwiach. A kiedy do warsztatu przychodził sam Thumann czy Eschner, przedtem wyrzucano wszystkich z bloku.

Do szewców i do zegarmistrza czasem zachodziłem. Wiele dawniej słyszałem o wschodnich wyrobach skórzanych, ale to, co tam widziałem zadziwiło mnie. Z odpadów skóry obozowych buciorów, ze starych teczek, torebek itd. wyrabiali precudowne balowe pantofelki. Widziałem jak pracowicie ze ścinaków skóry, przemysłnie ścinanych, lepionych i prasowanych wykonywali artystyczne wyroby. Celował w tym Gruzin Sasza, którego potem, w 1944 roku, spotkałem w komandzie Dyhernfurth II. Tam założył on podziemną organizację wojskową. Zegarmistrz z Leningradu Pietia wykonał sobie cały warsztacik zegarmistrzowski, łącznie z tokarką i wiertarką, wszystko z bukowego drewna. I to działało. Przerabiał i naprawiał zegarki wszelkich firm. Celował w przerabianiu kieszonkowych „Kirowów” na zegarki ręczne. Sam miałem od niego do końca obozu taki zegarek.

Spośród jeńców radzieckich w Gross-Rosen wyraźnie wyróżniał się Gruzin Igor Gurewicz. Znajomość języka uratowała go. Do końca obozu pozostał urzędowym tłumaczem języka rosyjskiego i języków pokrewnych. Inteligentny, o ujmującej i sympatycznej postaci i wysokiej wrodzonej kulturze, był przez wszystkich więźniów w obozie szanowany i ceniony. Nieraz Eschner, dla głupich popisów, kazał mu śpiewać lub tańczyć kozaka. Robił to z tak wspaniałą obojętnością, jakby to robił dla siebie, a nie z rozkazu. Nigdy nie powiedział nikomu złego słowa.

1 czerwca zlikwidowano obóz jeniecki. Druty i płoty zdjęto, jeńców przydzielono na blok ogólny. Pozostawiono im dotychczasowe jenieckie oznaczenia KGF i numer, tak samo naszyte jak nasze. Niektórych z nich potem długo jeszcze spotykałem. Niektórzy odwiedzali mnie w rewirze. W Dyhernfurth II spotkałem szewca Saszkę oraz sztubowych Wasyla i Iwana z bloku 6. Później spotkałem ich w obozie w Litomierzycach. Tam nasza grupa jeńców radzieckich pilnowała kopców kartoflanych. Iwan przed 1 maja 1945 r. uciekł do partyzantów, ale po kilku dniach wrócił po kolegów i wtedy w nocy odwiedził mnie.

Po likwidacji obozu jenieckiego, mnie i Żegleniowi zdjęto wreszcie cudaczne opaski. Pozostaliśmy na razie jeszcze przy tej samej pracy i nadal na 10 bloku. Po paru dniach jednak posłano nas do komanda Steinbruch. Zapisanie do tego komanda było raczej stałe i nawet na przykład po chorobie musiało się wracać do tego komanda. Oberkapo Steinbruch BV Bernard Nikolaitshak był naszym pacjentem wieczornym. Niemcy lubili się leczyć. Przyszedł do nas wieczorem i opowiedział, że jutro musimy iść do komanda Steinbruch, a jemu zakomunikował o tym sam Eschner dodając, że wolałby nas w obozie nie widzieć więcej. Był zmieszany i zaczął mi opowiadać, który post po drodze dobrze strzela. Zblefowałem go jednak wtedy i powiedziałem: Wiesz dobrze, że przysłali nas tu na zarządzenie Berlina. Ty się lepiej w to nie miesza, bo potem zrobią z ciebie winnego. Posyłają nas do kamieniołomu, no i cóż, kamieniołom też dla ludzi! On nie tylko nie zrobił nam krzywdy, ale po dwóch tygodniach pomógł uzyskać dobrą robotę.

Reasumując muszę stwierdzić, że w obu obozach koncentracyjnych, w Oświęcimiu i Gross-Rosen, w krótkim i mniej więcej takim samym czasie, z taką samą konsekwencją zniszczono, przydzielone im w tym celu, kontyngenty jeńców radzieckich. Metody bardzo zbliżone, jedynie w samym sposobie bezpośredniego zabijania nieco różne. Kogo nie dało się zniszczyć głodem, morderczą pracą i posuniętym do skrajnych granic terroryzmem, zabijano przez rozstrzeliwanie lub wytruto w sposób nieludzki, podając rękoma wojskowych niemieckich lekarzy trucizny jeńcom wojennym. Wszystko pod pozorem niszczenia wrogów politycznych, czyli komisarzy komunistycznych. Byli przekonani, że zwyciężą, a świat nie będzie pytał zwycięzców o te sprawy. Wtedy myśleliśmy, że to są jakieś lokalne nieobliczalne nieporozumienia. Nie mogło nam się pomieścić w głowie, że naród o starej kulturze mógłby popełniać tak nikczemne czyny. Dziś wiemy już, że sprawy te były nie tylko nakazane przez Hitlera i Himmlera, ale były uregulowane i nakazane rozkazami RSHA z 8.09.1941 o traktowaniu jeńców rosyjskich i z dnia 9.11.1941 o transportowaniu do obozów koncentracyjnych jeńców rosyjskich przeznaczonych na egzekucję. Mało jest już dziś takich bezpośrednich i naocznych świadków tych zbrodni i tego bestialstwa, które do dziś nie zostało ani w pełni ujawnione, ani ukarane. Jest to ponury precedens historyczny, który może się srogo na ludzkości zemścić, jeśli nie zostanie rozliczony do końca.

W późniejszych latach, zwłaszcza w 1943 i 1944 roku, przywożono jeszcze dużo transportów radzieckich do Gross-Rosen. Było tam wielu jeńców wojennych, ale to nie były transporty wydzielone, lecz pojedynczo lub grupowo wyselekcjonowani ludzie, oddawani Gestapo do likwidacji. Stąd między nimi spotykaliśmy wielu oficerów. Mówiono nam, że przesyła się ich do obozów za próby ucieczki ze stalagów itd., ale wiedzieliśmy, że był to element wyselekcjonowany, kierowniczy. Ludzie ci w obozie Gross-Rosen zapisali

niejedną chlubną kartę, podejmowali wiele prób ucieczek i wiele krwi i istnień oddali w imię wolności narodów.

### Komando Steinbruch

Tak więc w początkach czerwca 1942 roku zmienił się nasz status w obozie Gross-Rosen. Po rannym apelu wywołał nas Lagerältester Schaly i osobiście za kołnierze zaprowadził nas do komanda Steinbruch, i powiedział do kapo Nikolaitshaka: Du hast noch zwei tüchtige Steinmetze. I tak zaczął się dla nas nowy okres życia. Zakwalifikowano nas do Aufladekolonne. Norma: jedna godzina na załadowanie traktorowej przyczepy brukowym kamieniem lub odpadowym tłuczniem; diabelnie mało czasu. Po załadowaniu pierwszej przyczepy okazało się, że trwało to ponad dwie godziny, a na obu dłoniach mieliśmy rozległe krwiste pęcherze. Żegleń powiada: Słuchaj, jak długo potrafimy tak pracować? Musimy zwolnić na tyle, żeby nie podpadać, ale żeby oszczędzać i rozkładać siły. Teraz jeszcze jesteśmy w dość dobrej formie, trzeba to zachować jak najdłużej. Tak więc powoli dostosowywaliśmy pracę do naszych możliwości. Kapowie krzyczyli na nas, ale na ogół nas nie bili, raczej nas omijali. Zнали nas i nie wiedzieli o co w tym wszystkim chodzi. I tak jakoś powoli z dnia na dzień przyzwyczajaliśmy się do nowych warunków, ale z dnia na dzień było trudniej i gorzej.

Minęło tak chyba ze dwa do trzech tygodni. Pewnego dnia podczas pracy usłyszeliśmy coraz bliższe wołania: Achtung! Achtung! Znaczyło to, że jest jakaś inspekcja i słyszałem meldunki. Przez Steinbruch przechodził Lagerführer Thumann z jakimś drugim oficerem. Był to Steinbruchleiter, dyrektor kamieniołomów. Obok nich szedł kapo Nikolaitshak z czapką w ręce. Kiedy podeszli bliżej, zerwałem czapkę i przepisowo zameldowałem: Achtung! Häftling nr 1487 und eins bei der Arbeit! Thumann przyjął meldunek, machnął ręką i powiedział: Weiter machen. Przystanął jednak, przypatrzył się nam i zapytał: Sie sind doch die zwei polnische Ärzte? Wer hat sie hier geschickt? I nie czekając na odpowiedź, odszedł na bok i tam rozmawiał coś z kapo Nikolaitshakem i Steinbruchleiterem. W południe przyszedł do nas kapo Nikolaitshak i pochwalił się, że załatwił dla nas obu bardzo dobrą pracę. Ty, powiada do Żeglenia, będziesz u mnie przy komandzie sanitariuszem. Otrzymasz szafkę sanitarną i będziesz udzielał pierwszej pomocy przy skaleczeniach i nagłych zachorowaniach. Potem będziesz dzielił porcje drugiego śniadania. A ty, powiada do mnie, będziesz sanitariuszem przy szkole młodocianych Steinmetzów. Bardzo ci dziękuję, powiedziałem. Widzisz, miałem rację, kiedy ci mówiłem, że nie wiedzą sami, co z nami mają zrobić. Jak tylko będę mógł, to ci się zrewanżuję.

Jeszcze tego samego dnia zmieniliśmy pracę. Mnie zaprowadził kapo do szkoły młodocianych Steinmetzów. Baraki tej szkoły znajdowały się wzdłuż

szosy między terenem kamieniołomu a komendantury, jeszcze w obrębie dużej postenketty (łańcucha postów). Był tam 1 barak komendantury i mieszkania Heimleitiera, 2 baraki szkolne i mieszkalne dla uczniów, 1 barak magazynowy i różne szopy oraz na boku mały barak rzemieślniczy. Szkoła uczniów kamieniarskich była przeznaczona dla dzieci śląskich volksdojczów i miała z tych nowo przypisanych do narodu niemieckiego stworzyć kadry fachowych pracowników kamieniarskich. Równocześnie uczono ich języka niemieckiego, który okropnie kaleczyli, i wychowywano ich w duchu faszystowskim. A więc, w czwartki prowadzono ich do rzeźni w Gross-Rosen, aby się oswajali z widokiem krwi, a zaraz następnego dnia, w piątki, prowadzono ich do kamieniołomów i przydzielano po kilku na praktykę do pełniących tam służbę Blockführerów. Do ręki dawano im kije lub kawałki rury gumowej i dlatego piątki w kamieniołomach były bardzo ciężkie dla więźniów tam pracujących.

Heimführer, mały pucołowaty Niemiec w żółtym, partyjnym uniformie, poinformował mnie o zakresie moich obowiązków. Mam sprzątać i nadzorować baraki mieszkalne uczniów, ponadto prowadzić magazyny szkolne i utrzymywać w porządku ambulatorium, gdzie wieczorem przyjmuje uczniów lekarz. Mam także pomagać we wszystkich pracach gospodarczych. Oprowadził mnie wszędzie opowiadając, że jeśli coś zginie albo będę źle pracował może się to dla mnie źle skończyć. Oczywiście zapewniłem go o jak najlepszych moich zamiarach i z miejsca zabrałem się do pracy. Praca wydała mi się spokojna, bez ciągłego popędzania i bez stałego dozoru, a więc w obozie koncentracyjnym wymarzona, chociaż nie było jej mało. Właściwie byłem od wszystkiego. Od naprawy roweru do wykonywania wszelkich drobnych napraw itd. Z uczniami woziłem z kuchni w kamieniołomach wyżywienie dla nich wszystkich. Pilnowali mnie bardzo dokładnie, jak zawsze każdego nowego. Ile razy kucharka coś odłożyła dla mnie, to zawsze któryś z junaków zabierał to dla siebie lub dla psa. Chłopcy byli przeważnie ze Śląska i jako Polakowi i więźniowi dokuczali mi złośliwie. Trzeba się było ich bardzo strzec. Dlatego przy sprzątaniu, kiedy wchodziłem do baraków, zawsze wołałem ze sobą służbowego ucznia. I tak pewnego dnia zauważyłem jednego z nich grzebiącego w szafce kolegi. Pokazałem go służbowemu i okazało się, że miałem nosa. W południe powstał szum, że jednemu uczniowi zginął scyzoryk i jabłko. Był to właśnie właściciel tej szafki. Uczniowie już podawali Heimführerowi wersję, że to kradną więźniowie, kiedy służbowy uczeń opowiedział, kto grzebał w szafkach i winnemu wyciągnięto z kieszeni skradzione przedmioty. Od tego czasu bardzo się pilnowałem, aby nie stracić dobrej pracy. Tam jednak wszyscy kradli. Przynajmniej jeden raz w tygodniu kradł Heimführer. Zabierał wiele rzeczy z magazynu i wyjeżdżał na wieś, a wracał zawsze z jakimś prosiakiem, masłem czy innymi produktami dla szkoły. Dlatego chyba nie prowadzono żadnych ksiąg magazynowych.

W magazynie było wiele towarów, także pochodzenia zagranicznego, francuskiego, belgijskiego, a nawet polskich welen i jedwabi. Te towary były rozmieszczane na półkach i obok każdego towaru była przymocowana czarna tabliczka, na której wypisany był kredą aktualny stan towaru. Żadnej innej dokumentacji nie prowadzono. Po prostu, aby nie wykryć żadnych własnych złodziejstw. Po każdym wyjeździe Heimführera otrzymywałem od niego karteczkę dla wykonania poprawek w magazynie. Lub też po prostu nie pamiętając, co pozabierał kazał sprawdzić i uaktualnić stan magazynu. Kiedyś podczas takiej pracy przyszedł do magazynu Lagerführer Thumann. Oczywiście nie miał on prawa wstępu do takiego magazynu, ale przecież nie mogłem mu tego powiedzieć. Zameldowałem mu się przy pracy. Obejrzał sobie dokładnie cały magazyn. I skóry, i materiały ubraniowe, bieliznę i jedwabie, i nadziwić się nie mógł, po co to wszystko w szkole Steinmetzów. A potem zawołał mnie i obszedł ze mną cały magazyn i pokazywał towary, które on sam potrzebuje, dla siebie, dla żony, dla szwagra itd. Byłem przerażony. Zapytałem jak to mam dostarczyć i dokąd. Powiedział, żeby to załadować na wózek, którym wozimy jedzenie, przykryć dobrze papierem i na wierzch położyć kartofle. Potem mam iść do posta przy zejściu na szosę, on już będzie wiedział, i mam zameldować o przewozie kartofli do komendantury. Ale jak cię post przyłapie na tej kradzieży, pójdziesz do karnej kompanii. Kiedy odłożyłem cały wybrany towar, okazało się, że było go tyle, że nie zabiorę się z tym na jeden raz. Podzieliłem na dwie partie. Załadowałem wózek. Przyniosłem kilka wiader kartofli i przysypałem całość. Posta otrzymałem bardzo łatwo. Jakiś starszy człowiek. Nawet dość ludzki. Pod górkę od szosy do komendantury popychał mi nawet wózek. Kiedy zameldowałem się u Thumanna była tam jakaś kobieta, blondynka, być może żona. Kazał iść postowi do kantyny na piwo na jego rachunek, a ja tymczasem znosiłem kartofle na bok koło baraku, a wszystkie towary zniosłem do mieszkania. Żona zachwycała się tymi towarami. Słyszałem, jak pytała go na boku, czy nie dać mi czegoś do jedzenia lub kilka marek, ale jej zabronił mówiąc: so und so nimmt er nicht. Zu stolz dazü. Das ist ein polnischer Arzt. Po godzinie przywiozłem resztę. Spieszyłem się, bo Heimführer wyjechał tego dnia, a poza tym wołałem to mieć już z głowy. W sumie dokonywałem takich kradzieży dla Thumanna dwa razy. Drugim razem, a było to później o jakieś dwa tygodnie, o mało nie wpadłem. Wracając z postem od ulicy, tymczasem zobaczyłem, jak pracujący z nami ogrodnik Antoni Gładysz z Tarnowa, kradnie mi kartofle z wózka i już widać pod spodem papier. Wrzasnąłem wściekle, a on porzucił wiadro z kartoflami i uciekł. Prędko zasypałem kartoflami wybraną dziurę w pokryciu, a niezorientowany post śmiał się z zajścia. Byłby się śmiał lepiej, gdyby znalazł towary kradzione. No, ale jakoś i tym razem się udało. Ostatni raz.

Nasze komando Lehlingsheim liczyło 4 osoby. Fryzjer, krawiec, ogrodnik i sanitariusz. Na teren szkoły Steinmetzów kapowie nie chodzili w ogóle, a SS-

mani najwyżej skracali sobie czasem drogę do koszar, ale tam już zasadniczo nie „działali”, stąd praca w naszym komandzie była spokojna. Heimführer nie zajmował się nami, byle praca była dobrze wykonana. Czasami nawet przysyłał wszystkim po misce zupy, jak jej zbywało. Ukraść raczej było trudno, bo chłopcy pilnowali, a taki 12- czy 14-letni bęcwał może pilnować aż do znużenia. Staraliśmy się sami nie kraść i nie podpadać, aby nie podcinać gałęzi, na której siedzimy.

Józek fryzjer, pochodzący gdzieś spod Radomia, był uczciwością człowieka. Golił codziennie Heimführera, strzygł maluchów i zadowalał się lekką pracą i dodatkową miską zupy, co dawało szansę na przetrwanie. Krawiec, którego imienia ani nazwiska już nie pamiętam, także nie uznawał żadnych lewych dróg. I on dość często otrzymywał swą miskę, ale nie codziennie. Przypominał sobie o nim nasz Heimführer kiedy prasował czy czyścił jego ubranie, nie widział go jednak na co dzień, jak pracował jak wół, łatając szmaty uczniowskie, mundury i drelichy. Był już dłuższy czas w obozie, wychudzony na skórę i kość. Stale pokaszliwał. Pracował, bardzo się starając nie stracić pracy, która mogła mu pomóc uratować życie. A nie miał wielkich szans. Dlatego w naszym komandzie wszelka „organizacja” była bardzo ryzykowna. Mimo że przywoziłem z uczniami z kuchni jedzenie, nie mogłem nic zorganizować. Nie mogłem na oczach tych volksdojczerskich dzieci ani prosić się o jedzenie, ani kraść. Wynosiłem razem z nimi po obiedzie resztki dla psa, drobiu i królików. Zawsze kazałem im odstawiać część kartofli i resztek jedzenia w szopie, koło rowerów, na potem, żeby wszystkiego nie zdeptano od razu. Kiedy jednak przychodziłem później do szopy po te resztki, żeby je zjeść, okazywało się, że zawsze przepadały. Ktoś je kradł. Nikogo innego tam nie było. Fryzjer i krawiec nie wychodzili, bo południe spędzaliśmy razem. Pozostawał tylko ogrodnik. Wołaliśmy więc Antosia Gładysza, żeby się tłumaczył. Przedtem kilka razy sprawdziliśmy go i wiedzieliśmy, że to on. Zaklinał się i przysięgał, że to nie on. Wtedy wszyscy kpili sobie z niego. Ponieważ stale okradał króliki i ciągle wysiadywał pod ich klatkami, od tego czasu nazywali go wszyscy profesorem Królikiem lub Królikowskim. Przysięgał się, że po wojnie nas wszystkich pogrzebie. Zobaczymy co on może...

Spotkałem go jeszcze raz, po kilku tygodniach, w rewirze. Przebywał tam krótki czas z powodu jakiegoś bronchitu. Przechodząc koło sali chorych usłyszałem jakiś hałas. Rozdawano jedzenie. Chorzy krzyczeli, że rozdający oszukuje. Opowiadali, że jednym daje ze spodu, a innym tylko wodę z wierzchu, jak to bywało na co dzień koło kotła. Jeden z chorych tłumaczył, że swojemu koledze wydał aż dwie miski gęstej zupy i ma je schowane w łóżku. Kazałem sprawdzić. Chorym był pan profesor Gładysz. Miał rzeczywiście dwie miski gęstej zupy z dna kotła. Kazałem jedną miskę wlać z powrotem do kotła. Powiedziałem tylko: wstyd panie profesorze... Kiedy Polska Ludowa nie chciała już dalej po wojnie pokrywać różnych machlojek pana profesora

sora i redaktora, opuścił niegościnną ojczyznę, zwiął do USA i tam z dała dziś szkaluje nas i opisuje nieprawdziwe fakty. Cóż można więcej dodać? Wstyd panie profesorze!<sup>1</sup>

Najgorszym dniem w tym komandzie był dla mnie czwartek. We czwartki z pomocą dwóch bab z pobliskiej wsi robiłem wielkie pranie dla całej szkoły Steinmetzów. Przyciągałem starą kuchnię polową. Tam gotowało się dwa razy całe pranie, w rozczyźnie ługu z domieszką mydła. Potem gorące sztuki wyciągane z kotła szcztokowałem na dużym stole, a kobiety płukały, wykręcały i wieszały. Była to bardzo ciężka praca i we czwartek byłem zawsze wykończony fizycznie i psychicznie. Te dwie stare hexy wiejskie bardzo grały mi na nerwach. Myślały, że jestem bardzo spragniony wiadomości z frontu i cały dzień opowiadały co jeszcze Hitler zdobył w ostatnim tygodniu. A był to dopiero rok 1942, lato. Nie było żadnych wieści pomyślnych z frontu. Jeszcze było daleko do Stalingradu. Ja nie umiałem i nie mogłem nauczyć się prac. Wyśmiewały mnie. Dopiero kiedy zacząłem po bawersku rubasznie i sprośnie kłać i wymyślać, pozostawały mi w spokoju i praca przebiegała w milczeniu.

Dni bieżyły szybko. Przyzwyczaiałem się już do pracy. Najbardziej denerwowała mnie droga do kamieniołomów. Na pierwszym zakręcie pod górę codziennie ktoś wychodził z szeregu na posta. Ktoś, kto już wyczerpał swe siły i nie chciał umierać w poniewierce i biciu. Ten, co występował w lewo z szeregów był doskonałym celem dla posta na małej wieżyczce i był celnie trafiany. Nie męczył się. A post zarabiał znów kilka dni urlopu. To nazywaliśmy

---

1. Ta negatywna opinia o powojennej działalności A. Gładysza może wynikać z różnicy poglądów politycznych Hałgasa i Gładysza oraz być może ówczesnej propagandy.

Dr inż. Antoni Gładysz (1907–1991) był znanym w Tarnowie przedwojennym działaczem i publicystą w zakresie ogrodnictwa, Kólek Rolniczych i Kół Młodzieży Wiejskiej. Wiosną 1941 r. został aresztowany przez gestapo w Tarnowie za działalność konspiracyjną w ZWZ. W marcu 1942 r. osadzono go w KL Gross-Rosen. W lutym 1945 r. ewakuowany do filii KL Flossenbürg w Leitmeritz, gdzie doczekał wyzwolenia w maju 1945 r. Po powrocie do rodzinnego Tarnowa reaktywował, założone przez siebie w 1932 r., pismo „Hasło Ogrodniczo-Rolnicze”. Na jego łamach publikował zarówno własne wspomnienia z pobytu w obozach koncentracyjnych, jak i krytyczne opinie o tzw. postępowym ruchu ludowym, pozostającym w opozycji do Mikołajczykowskiego PSL. Czynn timer zaangażował się w tworzenie i działalność Polskiego Związku Byłych Więźniów Politycznych w Tarnowie. Działalność ta spowodowała, iż już od 1946 r. stał się obiektem zainteresowania ze strony tarnowskiego UBP, a następnie SB. Po odwilży roku 1956 r. – w 1957 r. został wybrany na posła na sejm. Początkowo zasiadał w ławach poselskiego koła „Znak”, a następnie jako poseł niezrzeszony. W okresie sprawowania mandatu posła na sejm PRL, w latach 1957-1961 działalność „służb” przeciwko Gładyszowi została zawieszona. Po zakończeniu kadencji ponownie inwigilowany i prześladowany, w końcu pozbawiony pracy i możliwości zarobkowania, został faktycznie przymuszony do decyzji o emigracji. W 1968 r. wyjechał do USA. Żonie i dzieciom zezwolono na wyjazd dopiero w 1972 r.

Losy Antoniego Gładysza są przedmiotem zainteresowania krakowskiego Oddziału IPN, gdzie przygotowywana jest praca biograficzna. Zob. też artykuł: Paweł Skorut, „26 lat inwigilacji”, w: „Dziennik Polski” nr 5 z 6.01.2006 r.



pójściem na posta, Niemcy zaś urzędowo – zastrzelony podczas ucieczki. W tym miejscu prawie codziennie strzelano. Takie było życie. Czasem ktoś zdenerwowany lub zaszczuty rzucał się w przepaść kamieniołomu ze skały. Były to jednak przypadki rzadkie. Następowaly okaleczenia, liczne połamania i nieraz duże dodatkowe cierpienia. Nie były to przypadki częste, i raczej były to przypadki więźniów zapędzonych przez postów lub SS-manów na śmierć. Tam wysoko niewielu chodziło do pracy. Inni nie mieli tam dostępu. Doprowadzenie więźnia do skoku w przepaść miało czasem charakter polowania z nagonką. Z mojej późniejszej pracy w rewirze pamiętam kilka takich przypadków, z licznymi połamaniami kończyn czy kręgosłupa, z porażeniami. Wątpię, czy ktoś dobrowolnie skazywałby się na takie męczarnie. Znam z tych czasów tylko jeden przypadek, który się wyleczył mimo połamania obu kończyn. Zwykle kończyło się śmiercią.

W obozie zaprzyjaźniłem się z dwoma więźniami. Jednym był Józek Dołński (nr 144), z Rawicza. Był szreiberem w kancelarii głównej. Chłopak bez zółci. Opowiadał, co dzieje się na frontach. Miał zawsze wiadomości zasłyszane od SS-manów. Drugim był Henryk Bytoński. Obaj starzy lagrowcy. Heniek był nieco młodszy ode mnie. Ale wyglądał o wiele starzej. Pracował gdzieś przy cieślach czy stolarzach. Obserwował mnie kiedyś w bloku, jak ścieliłem łóżko. Podszedł i pokazał jak to trzeba robić, żeby było lepiej i szybciej, i potem po kolei uczył wielu obozowych rzeczy. Był bardzo zrównoważony. Nigdy o nikim nie wyraził się źle. Po prostu dobry człowiek. I za co taki siedzi w obozie? Takie dobre słowo w trudnej chwili i taką pomoc pamięta się długo. Miałem wtedy dobrą pracę i marzyłem, żeby przy tej pracy przetrwać jak najdłużej.

Właśnie wtedy jednak się nam zmieniło. Od 1 sierpnia przyszedł znowu nowy lekarz obozowy, SS-Hauptsturmführer Willi Jobst. Słyszałem, że zaprowadza nowe porządki w rewirze. Pewnego dnia, kiedy właśnie robiłem porządki koło baraku uczniowskiego w Lehringsheimie, przechodził tamtędy młody, elegancki, przystojny SS-Hauptsturmführer, przystanął i zawołał: Du, Häftling! Komm hier! Przybiegłem i zameldowałem się na rozkaz. Zapytał mnie, czy nie wiem, gdzie tu jest zatrudniony jakiś polski więzień lekarz. Odpowiedziałem, że nie wiem nic o tym. Hau ab Mensch! odpowiedział i poszedł. Domyśliłem się, że to jest nowy lekarz obozowy. Wyglądał na elegancika, jak oni wszyscy. Nie chce mu się pracować, wołałby się wyręczać innymi. Po co się tam pchać. Tam w rewirze jest raj bevauerów. Co miałbym tam robić? Sam nie dałbym rady.

Na drugi dzień w południe wezwano mnie do kancelarii Heimführera. Siedział tam ten sam oficer, ze swoim psem „Reksem”. Popatrzył na mnie i powiedział do Heimführera: Dobrze tu musi być u was, jeśli więźniowie nie chcą stąd odchodzić. A potem do mnie: To jednak pan jest tym, z którym wczoraj rozmawiałem? To pan jest tym polskim lekarzem? A gdzie jest ten drugi?

Odpowiedziałem, że dr Żegleń pracuje jako sanitariusz przy komandzie Steinbruch. No więc jutro zgłosicie się do pracy w rewirze. Podziękowałem Heimführerowi za pracę i wyszedłem. Stał jeszcze z psem na drodze. Zawołał mnie jeszcze i zapytał, jak to się stało, że wysłano mnie do kamieniołomów. Odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że wtedy, kiedy przyjechałem bardziej potrzebowano leichenträgerów niż lekarzy. Tam w rewirze są sami Niemcy BV-erzy i nikt się tam nie utrzyma. No, to jeszcze zobaczymy, powiedział. A więc jutro rano w rewirze, obaj!

Długo wieczorem naradzaliśmy się z Żegleniem, jak postępować w nowej dla nas sytuacji. Poprosiliśmy o radę Józka Dolińskiego. Ale cóż i on mógł nam poradzić. W takiej sytuacji wojna między starymi Niemcami, którzy opanowali rewir, jest nieunikniona. Musicie się solidarnie trzymać. Przede wszystkim należy ich łapać na bójkach i złodziejstwach, bo oni bez tego nie wytrzymają. Trzeba się ich bardzo strzec, bo walka będzie bezlitosna i podjazdowa. Nie dać się złapać na słowo. Nie oddać w ich ręce chorych, a dla chorego żądać tego, co się mu należy. Jakim okaże się nowy Lagerarzt zobaczymy w praktyce. Nazajutrz rano znów wywołano nas przy apelu rannym i Eschner poprowadził nas przed Thumanna. Nie oglądał nas, tylko porozmawiał na boku z Eschnerem i ten kazał nam iść do rewiru i tam zameldować się do pracy.

Zgłosiliśmy się w rewirze u kapo Lösche. Przyjął nas nieco zmieszany i wyjaśnił, że teraz mamy nowego Lagerarza i on nas właśnie do niego zaprotegował. To jest bowiem nonsensem, żeby lekarze pracowali w kamieniołomach, kiedy są potrzebni w rewirze, dowodził coraz bardziej czerwieniejąc. Czekaliśmy na lekarza obozowego, który przyszedł koło 9.00. Porozmawiał z nami. Na przyszłość polecił zaczynać pracę, nie czekając na niego. W sprawach lekarskich odpowiadamy przed nim samym i nikt nie powinien nam przeszkadzać, a kapo rewiru powinien pilnować porządku i nie wtrącać się do spraw lekarskich. A teraz proszę do pracy, za trzy dni oczekuję meldunku, jeżeli coś nie gra lub coś trzeba zmienić.

## **Rewir**

Rewir w obozie koncentracyjnym Gross-Rosen zorganizowany został dopiero w lecie 1940 roku. Zajmował połowę ówczesnego baraku kuchennego, z trzema pomieszczeniami. Jedno na izbę chorych, jedno na salę chorych i trzecie dla niemieckich sanitariuszy. W 1941 roku zbudowano nieco poniżej kuchni jeden mały barak (typu dla 150 ludzi) z przeznaczeniem na rewir, zwany rewir 1. Tam urządzono izbę przyjęć i 4 sale chorych. Pod koniec 1941 roku i z początkiem 1942 oddano obok taki sam barak jako rewir nr 2. Po styczniowej wizytacji berlińskich lekarzy, barak ten przeznaczono dla zakaźnie chorych i gorączkujących. Taką rolę pełnił co najmniej przez rok. Znajdował się on poniżej bloków 3 i 4. W lecie 1942 roku wydzielono na rewir połowę duże-

go baraku (dla 350 osób), zbudowanego na terenie byłego obozu jeńców. Po-tem cały ten barak był rewirem nr 3. Od miejsca, gdzie powstał był nazywany rewirem ruskim. Oficjalnie nazywał się rewirem trzecim. Wtedy już prawie w całym rewirze wstawiono łóżka drewniane trójetażowe. Najpóźniej w rewirze 2. Oczywiście, chorzy leżeli przeważnie po dwóch w jednym łóżku, ale warunki były lepsze niż uprzednio. Rewir mógł już pomieścić co najmniej 600 chorych, a po zagęszczeniu nieraz i 800. Tu, w 3. rewirze w tagesraumie wybudowano, z polecenia Thumanna, pryczę dla konających, nazywaną pryczą Thumanna. Była to prycza drewniana, pochyła, czyli wybudowana ze spadkiem w kierunku nożnym. Całą pryczę obito papą i zamontowano kran wodny z podłączonym na stałe węzłem gumowym. Co kilka minut splukiwano strumieniem wody konających chorych. Całość była odgradzona od reszty tagesraumu za pomocą przegrody z desek, pomalowanej we wzorki. W środku tej przegrody znajdowało się wejście, przegrodzone wahadłowymi półdrzwiami, jak w amerykańskich westernach. W drugiej części tegoż tagesraumu mieszkał blokowy i nie chciał mieć stale przykrego widoku. Często sam Thumann przychodził oglądać swe dzieło i stał wpatrując się w konających. W 3. rewirze każdego konającego, zwłaszcza biegunkowca, kładziono na tej pryczy. Lekarze SS tak się przyzwyczaili do tej pryczy, że i po odejściu Thumanna nie można się było doprosić o likwidację tego skandalicznego wymysłu.

Z czasem, w lecie 1943 roku, podczas epidemii jaglicy w obozie, rewir powiększył się znowu o duży barak (typ 350). Po likwidacji tej choroby barak został przeznaczony na barak zakaźny. Potem powstały jeszcze obok, w dole koło Klehranlage, w miejscu dawnej latryny centralnej, dwa takie duże baraki rewirowe, które też przeważnie spełniały rolę baraków zakaźnych.

Poza rewirem były w Gross-Rosen jeszcze schonungi, czyli bloki, gdzie lekko chorzy i osłabieni więźniowie mieli prawo przebywać bez przymusu pracy. Początkowo bloki te były pod administracją obozu, lekarz jedynie miał prawo kierować tam chorych na oznaczony termin, po czym następowało zwolnienie. Później zasadniczo należały do rewiru, jednak zawsze liczyły się do stanu obozu, a nie szpitala. Umieszczać tam miano ludzi osłabionych, dla wypoczynku, ale że obóz potrafił wszystko wypaczyć, robiono tak, że schonungi stawały się faktycznie przedsiódkami piekła. Szykanowano ludzi w ten sposób, że albo musieli od apelu do apelu siedzieć na wąskich ławeczkach pod drutami, albo stać przed blokiem bez względu na stan pogody, po prostu jak na karnym posterunku. W łóżkach nie wolno im było pozostawać, bo nie byli chorymi, tylko osłabionymi, potrzebującymi odpoczynku. Zabijano ich zatem odpoczynkiem. Takie stanie czy siedzenie bez ruchu, dla niejednego było gorsze od pracy. Początkowo schonung był tylko na bloku 16. Blokowym był tam BV Winkelmann, a sanitariuszem BV Stokinger. Obydwaj zresztą homoseksualiści. Potem zorganizowano drugi schonung w bloku dużym nr 8. Blokowym tam był volksdojcz Wł. Zimmermann, ze Lwowa. Oddając sprawiedliwość trze-

ba stwierdzić, że chorzy w tym bloku mieli spokój, nie byli szykanowani ani bici. Chodziliśmy tam codziennie zmieniać opatrunki i wydawać leki w miarę potrzeby. Zasadniczo nie było różnicy między szpitalem a tym blokiem, a jeśli była, to na korzyść bloku 8. Każdy schonungsblok miał przydzielonego stałego sanitariusza, który powinien tam codziennie wizytować chorych. Lekarz co trzy dni robił przegląd, zwalnając do pracy lub w miarę wolnych miejsc przyjmując do rewiru. Chorzy w schonungach przebywali we własnych ubraniach, bieliznie i butach. W rewirze chory musiał zdawać wszystkie rzeczy, ubranie, bieliznę i buty, a otrzymywał jedynie bieliznę, zwykle zresztą najgorszą, lub nawet tylko samą koszulę, a na około 10 ludzi wypadła jedna para drewnianych pantofli. Zatem chory udający się do rewiru zwykle na tym tracił, nawet na swym wyposażeniu, jeśli ono dotychczas było nie najgorsze.

Wyposażenie medyczne i sanitarne rewiru w Gross-Rosen było niezwykle skromne. Niektóre rzeczy, jak sterylizatory, puszki, kochery elektryczne wykonywali więźniowie z narzędziowni. Oczywiście, ich kapo Riesera trzeba było opłacić. Część instrumentów lekarskich i narzędzi, jak noże, piłki, dłutka, pilniki organizowano w warsztatach stolarskich. Nici otrzymywano od szewców. Starzy chirurdzy wiedzą, że najlepszymi niciami chirurgicznymi były zwykle lniane nici szwskie, wymagające jedynie wygotowania. Nie drażnią one tkanek. Takimi zresztą niciami posługiwaliśmy się długo jeszcze po wojnie, bez jakiegokolwiek szkody dla pacjentów. Gips zdobywano z komand budowlanych i sporządzano opaski gipsowe. Opaski płócienne do wyciągów i do opatrunków elastycznych sporządzano z kradzionych prześcieradeł. Był to oczywiście sabotaż, najciężej w obozach karany, ale ludzie nie byli tacy źli, nie wydawali. Przez prawie 5 lat go uprawiałem i chyba nie znam przypadku, żeby ktoś na tym wpadł. Wyposażenie ambulatorium było zatem w Gross-Rosen bardzo skromne. Dla laboratorium właściwie nie było żadnego. Były jedynie nieliczne termometry, klepsyderki piaskowe do badania i liczenia tętna, łopatkki do języka. Nie było jednak miarki centymetrowej i taką taśmę trzeba było zorganizować u krawców, nie było kątomierza i trzeba go było zrobić. Przesłano nam jednak mikroskop lekarski. W czym i do czego mógłby on nam być przydatny? Oczywiście do badania płwociny na prątki i do oglądania osadu moczu. Praktycznie przydatności badania moczu nie widziałem, bo i tak nie było czym leczyć. Przebadanie zaś płwociny u kilkunastu podejrzanych chorych w ciągu jednego wieczoru przekonało mnie, żeby od tego badania w obozie odstąpić. Nie przypuszczałem nawet, że u tak wielu chorych, podejrzanych w badaniu fizykalnym, znajdę potwierdzenie laboratoryjne choroby. Prawie w każdym preparacie znajdowałem prątki Kocha. Nie można zatem dopuścić, żeby gruźlica była tak łatwa do udowodnienia w warunkach obozu koncentracyjnego. Znałem już z Oświęcimia, jak Niemcy traktują chorych zakaźnie. Nie mogłem dopuścić do tego samego w Gross-Rosen. Niedaleka przyszłość przekonała mnie, jak bardzo miałem rację.

Zaopatrzenie w leki rewiru w Gross-Rosen, w lecie 1942 roku, było fatalne. Urzędowe zaopatrzenie mogło, przy prawidłowej terapii, wystarczyć najwyżej na 10 dni. Małe ilości leków odkupywano od kapo kamieniołomów, bowiem zaopatrzenie tamtejszej apteczki było, na zasadzie zaopatrzenia cywilnego, dość dobre. Ale były to w sumie ilości drobne. Opowieści niektórych kolegów o kradzieżach w SS-rewirze wsadziłbym między bajki. Bo i kto miał kraść? Czy tych paru pracujących tam więźniów niemieckich? Im przecież za wszystko trzeba było płacić! A czym płacić? Niektórzy autorzy stworzyli, nie wiadomo po co, bajeczki o różnych rzeczach, nie konsultując ich z żyjącymi jeszcze więźniami, którzy o tych rzeczach musieli wiedzieć. Po prostu było im tak wygodniej. Wytłumaczyli wszystko, i zakaźność, i lecznictwo, i zaopatrzenie w leki, i wprowadzili nawet pewne doświadczenia gazowe w czasie, kiedy to było absolutną fikcją. Nie jest to dobre ani dla nas korzystne. Niemcy popełnili wiele przestępstw, wiele zbrodni, trzeba je skrupulatnie wykrywać i ujawniać. Wprowadzanie natomiast nowych, nie mogących być udowodnionymi, działań na naszą niekorzyść. Podważa inne zbrodnie i podaje w wątpliwość naszą prawdomówność. Dlatego jestem wrogiem bajeczek, które nie mogą nam dobrze służyć. Jestem wrogiem wypowiedania się o sprawach, o których nie ma się pojęcia, jak np. przenoszenie sprawy jaglicy do pracy w kamieniołomach czy przynoszenia kradzionego prontosilu z SS-rewiru do naszego rewiru. I o tym nic nie wiedział lekarz, nie wiedział aptekarz Władziu Kotuła, z którym aż do jego śmierci w 1972 roku pozostawałem w bliskich stosunkach. A przecież po prontosilu człowiek staje się czerwony i siusia na czerwono. Owszem, pewna poprawa w zaopatrzeniu w leki wystąpiła w drugiej połowie 1942 roku. Wtedy wszystkie leki przysyłane więźniom w paczkach trafiały do rewiru. Część z nich była bezwartościowa, to prawda, jednak większość były to środki przeciwbólowe i przeciwgorączkowe.

W 1943 roku poprawiło się nieco zaopatrzenie urzędowe, na skutek ciągłej molestacji Lagerarza z naszej strony. Trzeba przyznać, że zaopatrzenie medyczne było w rękach wyjątkowego sadysty i wroga więźniów, a przy tym szaleńczego zwolennika eutanazji, aptekarza SS-rewiru SS-Hauptscharführera Dehnela. Nieraz zastanawiałem się skąd u człowieka starszego wiekiem taka złośliwość w stosunku do życia. Kiedy szedł do krematorium wykonywać wyroki, a działo się to prawie codziennie, gdyż Jobst lubił się w tej sprawie nim wyrećcać, był uśmiechnięty i zadowolony. Po prostu w błogim nastroju. Jeśli w drodze powrotnej z krematorium zawadził o rewir, molestowałem go wtedy o lekarstwa i coś tam uzyskiwałem. On kierował sprawami zaopatrzenia i to bardzo dla nas nieprzychylnie.

Pewną istotną poprawę zaopatrzenia w leki, oczywiście także tylko okresową, można było zauważyć w jesieni 1943 r. po epidemii jaglicy. Wtedy, po obfitym zakupie sulfonamidów, za pieniądze złożone przez więźniów, część

została i leki te były bardzo przydatne także dla ogólnie chorych i dla spraw chorobowych, jak zapalenie płuc i inne.

Baraki rewirowe w drugiej połowie 1942 roku zostały po kolei skanalizowane. Założono łaźnie i klozety, zaprowadzono wodę. Po kolei zrobiono to w całym obozie i zlikwidowano centralną latrynę, zatruwającą życie chorych w rewirze. Skończyły się nocne kible, zapanowała jaka taka rzeczywista czystość. Dotychczas w rewirze kible i wiadra na nieczystości były stosowane dzień i noc. Przy tym straszliwym zagęszczeniu można sobie wyobrazić jaki tam panował smród. To zmuszało do stałego wietrzenia, a to z kolei utrudniało leczenie i uprzykrzało ludziom życie. Te braki sanitarne, które zresztą były prawie normalnym obrazem w każdym nowym obozie koncentracyjnym, nie pozostawiały bez wpływu na szerzące się w obozie choroby zakaźne, jak biegunki i dury. Oczywiście, miały wpływ i na znaczne zawszenie, co było przyczyną tyfusu osutkowego, czyli plamistego. Zawszenia nie zlikwidowano nigdy zupełnie. Nawet w czasie lutowej dezynfekcji i kwarantanny z 1942 roku. Nie zlikwidowano też nigdy całkowicie tyfusu plamistego w Gross-Rosen. Nasilenie jego zwiększyło się najpierw po większym transporcie z Majdanka w 1944 r., a potem z Oświęcimia. Były nasilenia większe zimowe i wiosenno-jesienne. Największe pierwsze nasilenie było chyba zimą z 1942 na 1943 rok. Największą pomocą, moim zdaniem, w jego likwidacji było jednak ustawiczne poszukiwanie wszy, czyli iskanie. To nie nowość, że gdzie nie ma wszy, nie może być tyfusu plamistego. Nie zaprzestawaliśmy nigdy tego w rewirze i trzeba przyznać, że zakażeń wewnętrznych było bardzo mało. Obowiązywało codzienne poszukiwanie wszy na oddziałach gorączkujących chorych. Jeśli nie mógł zrobić tego sam chory, musiał to zrobić za niego sanitariusz lub kolega. To musi zrozumieć każdy człowiek, któremu nieobce są zagadnienia sanitarne.

Zachorowalność w Gross-Rosen była bardzo wysoka i nie pozostawała w odpowiednim stosunku do liczby łóżek w rewirze, ani do możliwości leczniczych rewiru. Były one minimalne. Ponieważ jednak zasadniczą przyczyną co najmniej 90 procent chorób było wygłodzenie i złe warunki sanitarne oraz bicie, zupełnie nie było w naszej mocy, aby to zmienić. Pomijając początkowe okresy obozu, a zaczynając od roku 1942, stan liczbowy rewiru wahał się stale w granicach 25-30 procent stanu liczbowego całego obozu. Wyrażało się to przeciętnym dziennym stanem rewiru w lecie około 600 chorych, a zimą 1942 roku dochodziło już do 1200. Było to naturalnym następstwem, założonego zresztą przez centralę obozów koncentracyjnych w Oranienburgu, złego wyżywienia, niedostatecznego nawet dla ludzi nie wykonujących żadnej pracy. Dlatego około 80 procent zmarłych stanowili ludzie całkowicie wygłodzeni, a więc odbiałczeni i wycieńczeni, czyli zmuzułmanieni, tzw. allgemeine Körperschwäche. Około 15 procent stanowili ludzie, których przyczyną zgonu było pospolite morderstwo, stosowane ciągle w wielorakich formach. Zgony, których przyczyną była somatyczna choroba, nie zaplanowana, ani nie

zawiniona przez kierownictwa obozów koncentracyjnych, nie przekraczały 5 procent ogółu zmarłych. Obserwowałem w Gross-Rosen wielokrotnie ludzi, którzy do obozu przychodzili z pokaźnym zapasem tłuszczu, czyli tzw. grubasów z pokaźnymi brzuchami. Po około trzech miesiącach brzuch ten, na skutek gwałtownego chudnięcia, zwiślał im w formie skórzastego fałdu skórzanego, niejednokrotnie aż do kolan. Tak gwałtownego wychudzenia nie obserwowałem w żadnym innym obozie koncentracyjnym, podczas mego prawie pięcioletniego w nich pobytu.

Zatem wniosek zupełnie słuszny – mimo tych samych przepisów co do kaloryczności wyżywienia więźniów, w Gross-Rosen było ono najpodlejsze ze wszystkich obozów koncentracyjnych. Powód? Jasny i prosty. Kradzieże. Zbyt dużo ludzi kradło. Kradli wszyscy z załogi SS, od komendanta do ostatniego Blockführera. Dla każdego z nich wynoszono codziennie z kuchni pokaźne paczki żywności. Zwykle pod pozorem jedzenia dla psów. Jedzenia było mało w III Rzeszy. Wysyłano paczki żywnościowe do domu. Prostym Blockführer, pod pozorem „kosztowania” jedzenia, przychodził się nażreć do syta. Poza tym było bardzo dużo więźniów narodowości niemieckiej. Pospolitych przestępców. Ci kradli wszystko. Kradli z kuchni, kradli na blokach, jawnie oszukując przy dzieleniu. Widzieli to inni więźniowie i robili to samo. W kuchni kradzież dochodziła do takich granic, że kiedy na przykład do dużego kotła powinno się według norm wrzucać 15-20 kostek 500-gramowych margaryny, wrzucano 1-2 kostki. Wszyscy o tym wiedzieli i nikt nie był karany. Podobnych obrazków, o ile wiem, nie spotykano zbyt często w innych obozach koncentracyjnych. Dlatego w Gross-Rosen tak często występowała puchlina głodowa, załamanie homeostazy ustroju i wszelkich sił obronnych, w tym i obronnych reakcji psychosomatycznych. Tak tylko mogę sobie wytłumaczyć, że w tym obozie występowała tak ogromna liczba obrzęków głodowych, spraw wysiękowych, a w następstwie i spraw ropnych.

Klimat Gross-Rosen, podgórski, wyjątkowo zmienny i ostry sprzyjał powstawaniu licznych zapaleń płuc i opłucnej, co w tych podłych warunkach bytowania i leczenia prowadziło w prostej drodze do spraw wysiękowych, a te miały tendencję do ropienia. Nigdy i nigdzie przez całe moje lekarskie życie nie widziałem takiej liczby wysięków ropnych opłucnej i jamy brzusznej. Leczenie upustami czy stałym drenażem jedynie w pojedynczych przypadkach prowadziło do wyleczenia. Zwykle, powodując błędne koło, przez dalszą utratę białka ustrojowego prowadziło do kryzysowego załamania. Spotykałem wysięki ropne opłucnej dochodzące do 6 litrów, a wysięki brzuszne do 30-40 litrów, czyli 3-4 wiader. Oczywiście, opróżniano je wyłącznie ze wskazań życiowych.

Złamań i spraw urazowych w Gross-Rosen było dużo. Sprzyjała temu praca w kamieniołomach, gdzie o uraz łatwo. Rentgena ani do prześwietleń, ani do zdjęć nie było nigdy w Gross-Rosen. Złamania leczyłem w sposób zachowawczy, zwykle na wyciągach doraźnie komponowanych, bo sposób trans-

portu prowadził prawie zawsze do przemieszczeń i nie było warunków do doraźnego nastawienia. Opatrunki gipsowe były zwykle leczeniem następowym lub kombinowanym z wyciągowym.

W lecie 1943 roku przeżyliśmy dużą epidemię jaglicy. Dzięki ofiarnej pracy całej załogi sanitarnej oraz ofiarności więźniów, którzy dali pieniądze na lekarstwa, udało się w okresie około 2 miesięcy zlikwidować zagrożenie obozu i jednocześnie uchronić chorych przed likwidacją. Komisja przybyła z Oświęcimia nie wykryła wówczas kandydatów do gazu. W tych czasach, które pamiętam, a więc co najmniej do końca października 1943 roku, nie było ani jednego przypadku oślepienia. Potem słyszałem o 3 czy 4 oślepieniach na jedno oko. W każdym razie podawane przez niektórych katastroficzne cyfry i likwidację poprzez transporty, uważam za nieudokumentowane. Nie mówi na przykład nic o tym dr. Żegleń w swych wspomnieniach, a przecież przez cały czas był on niejako oddelegowany do spraw jagliczych.

Lekarze SS w Gross-Rosen: Pierwszym lekarzem obozowym SS był od powstania obozu w Gross-Rosen, tj. od 01.05.1941 do 24.12.1941 roku, SS-Obersturmführer Friedrich Entress<sup>2</sup>, który studia ukończył w Poznaniu, był przedstawicielem mniejszości niemieckiej w Polsce i już podczas studiów medycznych działał w Volksbundzie. Niektórzy podają, że w Oświęcimiu przebywał już we wrześniu 1941 r. i był obecny przy pierwszym gazowaniu. Inni podają jego przybycie do Oświęcimia 11.12.1941. Może rzeczywiście taka była data jego urzędowego przeniesienia. W każdym razie po naszym przybyciu do Gross-Rosen w dniu 24.12.1941 roku rozmawiałem z nim, wraz z dr. Żegleniem, i najwyraźniej nigdy przedtem nie był jeszcze w Oświęcimiu, ponieważ ciekawy był tego obozu i wypytywał nas o szczegóły, mówiąc, że właśnie tam wyjeżdża. W Gross-Rosen był jeszcze pod koniec września 1943 roku, przysłany przez Oranienburg, w celu zbadania na miejscu sprawy jaglicy. Widziałem go także w dniu 11 lutego 1945 roku, tuż przed naszym wyjazdem ostatnim transportem, jak wchodził do rewiru ze swym SDG Josefem Klehrem. Może dlatego po pozostawionych w Gross-Rosen ciężko chorych, w liczbie około 1500, wszelki ślad zaginął. Entressa powieszono po procesie załogi w Mauthausen w 1947 roku.

---

2. Friedrich Entress, ur. 8.12.1914 r. w Posen. Tam też na uniwersytecie studiował medycynę. W okresie od 1.12.1940 do 3.01.1941 r. był lekarzem obozowym w KL Sachsenhausen. Następnie w KL Gross-Rosen. Prawdopodobnie oficjalnie służbę w KL Auschwitz miał rozpocząć 11.12.1941 r.; zakończył ją 20.10.1943, kiedy to został przeniesiony do KL Mauthausen. Od 3.08.1944 do stycznia 1945 r. ponownie w KL Gross-Rosen. Następnie, do 10.02.1945 w KL Sachsenhausen. Od 10.02.1945 służył w 9/SS Panzer Division „Hohenstaufen”. 8.05.1945 r. dostał się do niewoli. Sądzony od marca 1946 r. w tzw. Mauthausen-Prozess w Dachau. 13.05.1946 skazany na karę śmierci. Stracony 28.05.1947 roku w Landsberg. Archiwum Muzeum Gross-Rosen [dalej: AMGR], sygn. 7834/DP – Kartoteka członków załogi, opr. przez A. Lasika; tamże, Kartoteka członków załogi KL Gross-Rosen.



Drugim lekarzem SS w Gross-Rosen, od 24.12.1941 do 31.01.1942, był SS-Untersturmführer Kurt Babor. On to wytruł chorych jeńców rosyjskich w styczniu 1942 roku, w liczbie co najmniej 220 ludzi, oraz uczestniczył w likwidowaniu mniejszych grup jenieckich w krematorium. Po wojnie wypłynął jako lekarz specjalista ginekolog dworu cesarskiego Heile Selassie w Adis Abebie. Podobno tam popełnił samobójstwo.

Trzecim lekarzem SS w Gross-Rosen, od lutego 1942 do końca lipca 1942 r., był SS-Obersturmführer Schmiedt (lub Schmiets). Zmiana w lutym nastąpiła po ujawnieniu przypadków tyfusu plamistego w tamtejszym garnizonie SS. Zmieniono lekarza i zarządzono 4-tygodniową kwarantannę całego obozu. Jedyne chyba wypadek w całej historii niemieckich obozów koncentracyjnych. Przez ponad 4 tygodnie lekarz SS był najwyższą obozową władzą. Do obozu nie wchodził Blockführerzy, a więźniowie nie pracowali, tylko się iskali.

Czwartym lekarzem SS był SS-Hauptsturmführer Willi Jobst<sup>3</sup>. Od 1.08.1942 do końca października 1943 roku. Sudetendeutscher, zachował wiele sentymentu do Czechów i wyraźnie forował więźniów czeskich. Studia kończył w uniwersytecie Karola w Pradze. Nie był zanadto pracowity. W rewirze zdawał się na kapo rewiru, ale przyznać trzeba, że wprowadził lekarzy więźniów do pracy i stworzył im warunki do samodzielności. Nie miał jednak szczęścia do rewirowych kapo. Byli to wyjątkowi degeneraci i sadyści. W pracy jego widać było, że nie był entuzjastą eutanazji i w sprawach tych zdawał się na swego SS-Hauptscharführera i aptekarza SS Dehnela, którym się wyręczał w wielu sprawach. Ten ostatni, zdecydowany polakożerca i fanatyczny zwolennik eutanazji.

Potem następowały już coraz częstsze zmiany lekarzy SS. Od połowy listopada 1943 Lagerarzem był SS-Obersturmführer Schmiedt, potem kolejno: SS-Obersturmführer Heinrich Rindfleisch, następnie Obersturmführer König, Hauptsturmführer Heinz Thilo i znów, podczas ostatnich dni ewakuacyjnych, SS-Obersturmführer Entress. Po wojnie poszukiwali Czesi Jobsta. W latach sześćdziesiątych miał być jego proces. Byłem przesłuchiwany w jego sprawie w sądzie powiatowym w Nysie. Wtedy dowiedziałem się, że z Gross-Rosen w 1943 roku nie odszedł na front, jak się wówczas mówiło, ale do KL we Flossenbürgu i pod koniec wojny miał być lekarzem podobozu w Leitmeritz. Byłem tam właśnie w ostatnich miesiącach wojny, ale o tym nie wiedziałem, ani go tam nie spotkałem. Heinz Thilo zmarł w Hohenelbe 15.05.1945 roku,

---

3. Willibald Jobst, ur. 27.10.1912 r. w Eger (Węgry). W okresie od 1.10.1939 do 21.06.1941 r. w armii; następnie, do 1.03.1942, był lekarzem w szpitalu polowym. Od 1.03.1942 do 11.03.1942 r. – lekarz w KL Auschwitz, skąd przeniesiony został do KL Stutthof, gdzie był do 1.07.1942 r. Następnie, od 1.07.1942 do 18.05.1943, w KL Gross-Rosen. Po wojnie sądzony. Stracony 28.05.1947 r. w Landsberg. AMGR, sygn. 7834/DP – Kartoteka członków załogi, opr. przez A. Lasika; tamże, Kartoteka członków załogi KL Gross-Rosen.

w wieku 34 lat, o Schmiedtzie (Schmietsie), Hansie Willim Königu i Heinrichu Rindfleischi<sup>4</sup> nic nie wiadomo. Zniknęli jak kamfora.

Osobna wzmianka należy się sanitariuszom niemieckim, czyli tzw. SDG (Sanitätsdienstgehilfe, Sanitätsdienstgrad). W obozie Gross-Rosen znałem ich tylko kilku. Kiedy przybyłem do Gross-Rosen w obu obozach, więziarskim i jenieckim, służbę pełnił SDG Frietz Schultze (lub Kurze). Nie można go jednak mylić z Untersturmführerem Kurze, Lagerzahnarzt, który w 1941 i 1942 roku był obozowym dentystą dla SS i dla więźniów. W SS-Zahnstation pomagał mu polski stomatolog z Gdyni Władysław Torliński, a w obozowej dentyście niemiecki BV-er, starszy już wiekiem dentysta zniszczony narkomanią. O SDG Unterscharführerze Schultze wiele opowiadano. On wraz z lekarzami Entessem, a potem Baborem brał udział w wytruciu, za pomocą dostarczanych trucizn, jeńców radzieckich i tych, co byli podejrzani o stopnie oficerskie i przynależność partyjną, a także jeńców chorych. Mówiono także, że brał udział w truciu chorych więźniów, zwłaszcza posiadających złote zęby. Nie byłem jednak tego naocznym świadkiem. Został zdjęty razem z Baborem w lutym 1942 roku i potem w obozie szeptało się, że miał być sądzony za kradzieże i nadużycia. Drugim SDG był Unterscharführer Herzog. Rzemieślnik przyuczony na sanitariusza, absolutnie o niczym nie miał pojęcia. Wszystko co niemieckie było echt und prima, a wszystko co obce, a zwłaszcza słowiańskie, schweineri. Byli także Unterscharführerzy Braun i Peterek, jednak oni nie odegrali żadnej większej roli. Najgorszym był ich szef, SS-Haupt-scharführer Dehnel, drogerzysta z cywila, aptekarz SS-rewiru i najczęstszy zastępca lekarza obozowego w Gross-Rosen. Był fanatycznym zwolennikiem eutanazji i polakożercą. Niemłody już, bo na pewno ponad 50 lat liczący człowiek, siwy, prawie staruszek o dobrotliwym wyglądem był fanatycznym hitlerowcem i palił się do szprycowania i zabijania ludzi. Na przełomie września i listopada 1943 roku sam zarządził i wykonał uśmiercenie 10 chorych z 3 rewiru, podejrzanych o gruźlicę, na podstawie kartki odebranej lekarzowi Antoniemu Mianowskiemu ze Lwowa. Nawet nie konsultował się w tej sprawie z Lagerarzt. Był niezwykle zadowolony, jeśli w zastępstwie Lagerarza mógł wykonywać wyroki śmierci na więźniach lub doprowadzonych osobach cywilnych, w czym najczęściej zastępował lekarza w latach 1942 i 1943. Węszyl stale za chorymi zakaźnie. Dlatego przesyłając materiały do badania we Wrocławiu na Widala i Weil-Feliksa, tam, gdzie spodziewaliśmy się dodatkowych wyników posyłaliśmy materiały na nazwiska ludzi właśnie zmarłych tego dnia lub konających.

---

4. Heinrich Rindfleisch został 18.07.1944 r. oddeloegowany do AL Riese, gdzie w charakterze naczelnego lekarza przebywał prawdopodobnie do 23.11.1944 r. Od 30.01.1945 prowadził szpital SS w Berlinie. AMGR, sygn. 7834/DP – Kartoteka członków załogi, opr. przez A. Lasika; tamże, Kartoteka członków załogi KL Gross-Rosen.

Pomocnikami Lagerarzta i zastępcami Lagerführera w administrowaniu rewirem byli kapo rewiru. Ponieważ byli oni wyznaczani nie przez lekarza, ale kierownictwo obozu, a ani Thumann, ani Eschner nie należeli do przyjaciół lekarza Jobsta, dostawał on zawsze na kapo rewiru zaufanych szpicli Eschnera i wyjątkowych bandytów. Pierwszym z nich był, od początku rewiru w Gross-Rosen do zimy 1942/43 roku, BV-er Hermann Lösche. Pospolity przestępca i złodziej, który w obozie uważał się za lekarza. Chętnie wykonywał każdą rzecz, na której można było zarobić. Grał w karty, gromadził złoto, uczestniczył we wszystkich akcjach zabijania więźniów i jeńców radzieckich, w latach 1940-1942. Leczył, ordynował, ba nawet operował. Był zaufanym szpiclem Eschnera. Został zlikwidowany. Pod pozorem zwolnienia z obozu został wysłany w nieznane. Wiedział o tym mającym nastąpić zwolnieniu już na kilka dni wcześniej. Uszyto mu w pracowni obozowej ubranie cywilne z odpowiednimi schowkami na zgromadzone złoto i walutę. Obiecywał kolegom dać znać i napisać. Nie napisał do nikogo. Niemieckim porządkiem do obozu wróciło jednak ubranie, które w magazynie rozpoznano jako jego własność. Oczywiście złoto nie wróciło. Zwykły niemiecki sposób wykańczania świadków. Następcą jego został notoryczny, 44 razy karany, nożownik i morderca BV-er Walter Richter, zwany także Milone, narkoman i homoseksualista. Był cały wytatuowany tak dalece, że na ciele jego, nie wyłączając części intymnych i powiek, nie można było znaleźć ani kawałeczka czystej skóry. Trzeba było przyznać, że tatuaże te, aczkolwiek nieco ordynarne, były w wykonaniu wprost artystyczne. Na karku miał szeroki czerwony napis: Mein Haupt gehört dem Henker. W lecie 1943 roku werbowano wśród Niemców w obozie Gross-Rosen ochotników do wstąpienia do SS, dla zwalczania band na Białorusi. Richter zgłosił się jako pierwszy. Tegoż dnia otrzymał za to butelkę alkoholu. Skąd zdobył skopolaminę, nie wiem. Wypił alkohol, zamiast morfiny wstrzyknął sobie skopolaminę i w stanie niezwykłego podniecenia, rozebrany do naga, skakał a potem czołgał się po korytarzu, szczerkając jak pies. Tak go zastał lekarz obozowy Jobst, pośmiał się i koniec. Richter wyjechał. Po kilku tygodniach opowiadał mi lekarz Jobst, że przyszło pismo do obozu, wychwalające go za odwagę i że prawdopodobnie będzie mianowany oficerem. Po dalszych dwóch lub trzech miesiącach, palacz z krematorium opowiadał mi, że w nocy przywieziono go do krematorium, z wyroku powieszono i spalono. Podobno sprzedawał broń i zaopatrzenie SS, pracując w kwatermistrzostwie. Trzecim i chyba najgłupszym kapo rewiru był Alfred Stoll, także BV-er. Pospolity złodziej. Pobierał łapówki od chorych, a kto nie mógł zapłacić bywał wyrzucany lub szykanowany. Nawet od sanitariuszy żądał opłat. Urządzili go w jego urodziny. Dali mu coś wypić, potem posadzili go w białym fotelu lekarskim z izby przyjęć, w którym siedział zwykle Lagerarzt, obstawili laurkami i podarkami, a chorzy tańczyli wokoło. Tak go zastał Lagerarzt i wyrzucił z posady. Po nim przyszedł najgorszy z kapo rewiru BV-er Gottlieb Kajzer, berliński hochszta-

pler. Był wyjątkowym polakożercą. Nienawidził i szukał nas wszędzie. Bił sanitariuszy, bił także lekarzy. Doprowadził mnie do targnięcia się na życie. Był pierwszym zaufanym Eschnera. Został wtedy mianowany Lagerälteste-rem. W pół roku później, jeden dzień przed zwolnieniem do domu, został zamordowany przez swoich towarzyszy na tle podziału złota i wygranych w karty pieniędzy. Po nim kapo rewiru został jeden z największych bandytów grossrosen-skich BV-er Georg Prill, także homoseksualista. Ten sam, który jako Lagerältester i blokowy w jenieckim obozie wykańczał jeńców radzieckich. Ten sam, który w przeciągu pół roku wykończył prawie całe swoje Aussenkommando Breslau-Lissa. Dalszych kapo rewiru, z powodu wyjazdu z Gross-Rosen w styczniu 1944 roku, już nie znałem.

Od początku istnienia obozu do połowy 1942 roku nie pracował w rewirze ani jeden Polak, tylko sami Niemcy, wszyscy przestępcy pospolici. Żaden z nich nie miał nigdy nic wspólnego z pracą sanitarną. Byli to starzy lagrowcy, bezwzględni w postępowaniu. Wraz ze swym kapo Lösche tworzyli dobraną grupę, zdolną do wszystkiego, od kradzieży pospolitej do mordowania. Byli to: BV-er Franz Grabowski z Berlina, Bruno Saroki z Gdańska, także BV-er, następnie BV-er Stockinger, Fietze, Knittel, Adolf z Legii Cudzoziemskiej, naturalizowany we Francji Niemiec, oraz Krause i Winkelmann. Powoli odchodzili z rewiru, pilnowani przez przyjmowanych coraz częściej Polaków. Zasadniczo w latach 1942-1943 pełnili jeszcze funkcje blokowych poszczególnych bloków. Na ich miejsce, kiedy musieli odejść, mianowano zwykle blokowymi też Niemców lub volksdojców, którzy jednak nie dochodzili już do tak bezwzględnej władzy jak ich poprzednicy.

W Gross-Rosen blokowych w rewirze i kapo rewiru mianował, niestety, Lagerführer za pośrednictwem Rapportführera, natomiast w Oświęcimiu było nieco odmiennie. Tylko Krause odszedł z rewiru z własnej woli i raczej bardzo wyróżniał się korzystnie wśród tej zgrai. Ostatnim był chyba Saroki, który na początku września 1943 roku został wysłany do Dyhernfurthu na kapo tamtejszego rewiru, ukarany wyjazdem za przetrzymywanie przez 3 dni, w łóżku między chorymi, jednego zmarłego, aby pobierać za niego codziennie porcję chleba. Już sam fakt takiego przestępstwa, popełnianego przez blokowego dla zdobycia porcji chleba, znamionuje stosunki i wygłodzenie obozu. W innym obozie byłoby to raczej niemożliwe.

Do lata 1942 roku nie pracował w rewirze ani jeden lekarz więzień, mimo że dwóch nas zostało przez Berlin przysłanych już w 1941 roku, w celu zatrudnienia w rewirze. Było to nie na rękę miejscowym władzom i miejscowym lekarzom SS, którzy woleli nie mieć fachowych świadków. W sierpniu 1942, z inicjatywy lekarza obozowego SS-Hauptsturmführera Willi Jobsta, przyjęto do pracy w rewirze dwóch lekarzy Polaków, tzn. Józefa Żeglenia z Makowa Podhalańskiego i Kazimierza Hałgasa z Gorlic, tzn. mnie. Ale już po kilku dniach wysłano dr. Żeglenia na pierwsze Aussenkommando do Breslau-

Lissa, skąd powrócił dopiero w marcu 1943 roku, zniszczony i schorowany. W Gross-Rosen nie było wówczas lekarzy więźniów. Jesienią 1942 roku przybył do obozu dr Kazimierz Frączek z Kolbuszowej i natychmiast został zatrudniony w rewirze, na oddziale zakaźnym i wewnętrznym. Ale jeszcze przed wiosną 1943 roku został zwolniony do domu. W zimie na 1943 rok przybył do obozu, starszy wiekiem, francuski chirurg Ludwik Lafon, który mimo choroby własnej pomagał w leczeniu chorych. W pierwszych dniach marca 1943 roku przybył z Oświęcimia dr Józef Jabłoński, ale już 13 marca został wymieniony za chorego dr. Żeglenia do komanda Lissa. Dopiero pod koniec września 1943 roku, z dużym transportem ze wschodu, przybyli dwaj dalsi lekarze, a mianowicie Jan Jachna i Antoni Mianowski i zostali przydzieleni do pracy w rewirze. Następnego dnia jednak Jachna został wysłany do komanda Dyhernfurth II. Potem nie było żadnych nowych lekarzy w obozie aż do kwietnia 1944 roku. Przybyła wtedy większa grupa lekarzy, w związku z likwidacją Majdanka. W lecie 1944 roku przybyło kilku lekarzy z Krakowa i Warszawy. Byli między nimi prof. Mieczysław Michałowicz, doc. Stanisław Konopka, Romuald Sztaba i Jan Nowak, znani mi jeszcze z Oświęcimia w 1941 roku. Byli też: Mieczysław Kotarbiński, Stanisław Różycki z Piotrkowa, Walenty Popek i Kornel Gibiński z Krakowa, Ludwik Fischer z Zakopanego, Kazimierz Majewski, Władysław Zapałowicz, Władysław Bernadzikowski, Leonard Szadurski, Mieczysław Reiser, Kazimierz Biały, Weirowski, Czesław Cierpikowski, Tadeusz Woźniak, Kasper Dębosz, Jerzy Dutkiewicz, Alojzy Szewczyk, Kazimierz Popiołek, Zygmunt Kulik, Konrad Dunglaszewski, Stanisław Domin, Natan Lienfeld, Jan Wójcicki, Jan Dadak, Stanisław Mazurek, Władysław Żołądź, Zygmunt Witalis, Gutentag, Ryszard Hanusz, Włodzimierz Doktor i inni (według wykazów Romana Olszyny z Warszawy).

Równocześnie od 1942 roku zacząłem do rewiru wprowadzać polskich sanitariuszy, których tu dotychczas nie było, ale dopiero w 1943 roku zaczęli oni zdobywać przewagę nad Niemcami. Wielu już dziś nie pamiętam, z wieloma się żyłem i zaprzyjaźniłem, mimo że byłem dla nich wymagającym szefem. W obozie trzeba było wymagać od nich znacznie więcej jak w cywilu. Wielu z nich powyjeżdżało potem na komanda robocze. Nie mogę wielu z nich zapamiętać, za ich wyjątkowo uczciwą, pełną poświęcenia pracę, jak studenta medycyny Włodzimierza Chojnackiego, Stanisława Dziadusia, Stanisława Czarka, aptekarza Władysława Kotulę, mgr. Stanisława Orłowskiego. Dzielnie pracowali też: Władysław Dąbrowski, Kalista, Pieczak, Marian Jarosiński, pułkownik Vasatko z Pragi, i wielu, wielu innych, którzy swą rzetelną pracą uratowali niejedno więziarskie życie lub niejednemu umilili ostatnie chwile. Jednemu z nich, Marianowi Jarosińskiemu (nr 172) zawdzięczam życie, w sensie dosłownym. On wezwał do mnie lekarza w krytycznej chwili, on mnie pielęgnował w chorobie.

Lagerarzt Jobst w chwili przyjmowania nas do pracy w rewirze, podzielił funkcje rewirowe. Lekarze mają pełnić funkcje lekarskie i odpowiadać za leczenie, kapo rewiru i blokowi za całość administracyjną, porządkową, czystość, żywienie itd. Jeżeli on jako Lagerarzt nie zjawia się do godziny 8, powinniśmy zaczynać pracę bez niego. Codziennie trzeba mu dostarczyć do SS-rewiru kartkę z danymi liczbowymi z rewiru, osobiście lub przez gońca. Tam ma być wyszczególniona liczba chorych, liczba zmarłych, z rozbiciem na grupy chorobowe, oraz codzienny meldunek o chorobach zakaźnych. Obowiązuje codzienny obchód lekarski, likwidowanie brudu, wszy, okradania chorych. Zapotrzebowanie na leki i materiały opatrunkowe trzeba składać w soboty, odbierać w poniedziałki. Obowiązuje krańcowa oszczędność leków i materiałów opatrunkowych. Celem zorganizowania badania płwociny na prątki Kocha stawia do naszej dyspozycji jeden mikroskop. W podejrzeniach o dury, paradury i tyfus płamisty obowiązuje wysyłanie moczu, stolca i krwi, pobieranej do specjalnych probówek z pożywką tzw. Venül, do Wrocławia do badania na Widala i Weil-Feliksa. Próbkę będzie woził dwa razy w tygodniu, we wtorki i piątki, jeden z SDG. Obowiązuje skrupulatne i dokładne oraz czytelne wypełnianie kart skierowań do badania. Poza tym unikać nieporozumień administracyjnych, i o każdym ważniejszym zajściu natychmiast meldować ustnie lub pisemnie Lagerarztowi. Szczególnie zwraca nam uwagę, że on jako Lagerarzt jest najwyższą władzą w rewirze i nie życzy sobie, aby Rapportführer czy Lagerführer mieli tu coś do szukania. W takich wypadkach należy go natychmiast powiadamiać.

Takie przemówienie było bardzo nieostrożnym pociągnięciem ze strony lekarza. Wiadomo przecież, że wszyscy funkcyjni byli zaufanymi Rapportführera i że za chwilę Rapportführer i Lagerführer będą o wszystkim wiedzieć. Wszelkie nieporozumienia między władzami obozowymi, zawsze się źle kończą dla więźniów.

Niewiele można było planować w naszej pracy, bo już po dwóch dniach, zupełnie niespodziewanie, dr Żegleń został wysłany jako sanitariusz do małego komanda, liczącego zaledwie 150 więźniów, w Lissa, koło Wrocławia. Mówiłem o tym Lagerarztowi, że tam można posłać sanitariusza. Powiedział jednak, że od niego to nie zależy. Żegleń wrócił dopiero w marcu 1943 roku, zmizerowany i schorowany. W jego miejsce wysłano dr. J. Jabłońskiego, znacznie młodszego. Okazało się, że w komandzie tym musiał pracować na równi z innymi, a dopiero wieczorem wykonywać czynności sanitarno-lekarskie, dodatkowo. Był bity przez Georga Prilla, Lagerältestera komanda. Ze 150 ludzi tam wysłanych, w celu dokończenia budowy koszar wojskowych, wróciło do wymiany zaledwie 17, reszta zginęła.

Tak więc zaraz w sierpniu 1942 roku zostałem w rewirze sam. W rewirze stan dzienny przekraczał 600 chorych, a w schonungu dochodził do 200. Po tem stan chorych wzrastał z dnia na dzień i do zimy 1942 dochodził do 1200

chorych, a w 1943 przekraczał często 1500 osób. Rewir stanowił 25-30% stanu obozu. Po przyjęciach chorych i obchodzie musiałem codziennie wykonywać co najmniej 30-40 zabiegów lekarskich, takich jak różnego rodzaju nacięcia ropni, ropowic, karbunkulów i czyraków, nastawianie zwichnięć i złamań, zakładanie wyciągów, opatrunków gipsowych, pobieranie krwi i wydzielin do badania, wypisywanie kontrolnych kart, opatrunki kontrolne i badania, itd., itd. Do tego dochodziła gospodarka lekami, i jeszcze trochę pracy kancelaryjnej i statystycznej. Pracy było bardzo dużo i codziennie jej przybywało. Pracowałem intensywnie co najmniej 16 godzin na dobę. Nie miałem czasu wyjść na lagier, porozmawiać z kolegami, bo w tym czasie, kiedy oni wracali z pracy, w rewirze była największa praca. Śmiertelność stale wzrastała. Poszczególne transporty niejako po kolei „kończyły się”. Na początku roku 1942 dziennie umierało od 1 do 3 osób, w połowie roku liczba ta dochodziła do 8, a pod koniec roku umierało 15-20 osób dziennie. Około trzeciej części zmarłych przynoszono z komand i z bloków, najczęściej zabitych, zastrzelonych lub dogorywających z bicia i wycieńczenia.

Zwykły tok przyjmowania do rewiru był taki sam jak w innych obozach, jednak w Gross-Rosen dokładnie i dłużej przestrzegano meldowania chorych podczas apelu wieczornego. W każdym razie w czasie władzy Thumanna, rygor był znacznie zaostrzony. Chory przechodził przez sito własnego blokowego, który był jego pierwszym lekarzem. On, jeśli uznał to za stosowne, przedstawiał go podczas apelu Rapportführerowi lub nawet Lagerführerowi. Ci dopiero decydowali, czy chory może iść do lekarza. Oczywiście, chory po drodze zbierał szturchańce i bicie, był wyśmiewany i wyszydzany. W dodatku, z braku miejsc, chory nie zawsze mógł być przyjęty do rewiru. Nie przyjęty miał kłopoty we własnym bloku, gdzie uznawano go za symulanta, nierzadko przydzielano karnie dodatkową pracę lub nawet bito. Czasem, taki człowiek niedługo potem wracał pobity w agonii lub nawet jako zmarły. Dlatego staraliśmy się przyjmować wszystkich skierowanych, chociaż nie było to łatwe. Już sam wybór spośród dużej grupy oczekujących, tych, którzy najbardziej potrzebują pomocy był niełatwą sprawą.

Każda decyzja lekarska była trudna i odpowiedzialna. Kogo przyjąć, kto jeszcze może zaczekać, jaką ustalić kolejność, jak leczyć, kogo dać do łóżka pojedynczego, a kogo we dwóch? Oto pytania codzienne, przed którymi stawał lekarz. Czy można patrzeć przez palce na złodziei i oszustów? Czy dzielić sprawiedliwie, czy za podszeptem, nieraz dobrych kolegów, oszukiwać cięższych chorych? To były dylematy trudne. Wtedy każdy miał tylko jedną radę, najlepszą dla siebie. Nie brak było takich, którzy ciężko chorym zabraliby wszystko, bo dla takiego już szkoda wszystkiego, aby tylko dla siebie mieć dwie miski czy dwie pajdki chleba. Kiedy dziś czyta się dość szablonowe opisy ludzkiej troski o bliźniego, serce się raduje, ale wtedy był okrutny obóz, ciężka walka o byt, przede wszystkim własny, bardzo nieraz daleka od altruistycz-

nych uczuć. Oczywiście, były także wielkie budujące, bohaterskie przykłady. Był w Oświęcimiu Ojciec Maksymilian Kolbe, co życie oddał za nieznanego człowieka, tylko dlatego, że tamten miał dzieci. Na co dzień jednak ludzie walczyli o życie, kradli, oszukiwali, rabowali. Walczyli aż do końca, czasem już tylko półżywi o drobne kruszynki chleba, wierząc, że to uratuje im życie. Bardziej inteligentni, dystyngowani ludzie, którzy nigdy w życiu nie oglądali się za jedzeniem ani do niego nie przywiązywali specjalnej wagi, tu w obozie dzielili się i rozliczali za każdej kruszynki. Z drobnych patyczków i nitek sporządzali misterne kieszonkowe wagi i ważyli dzielone porcje, bacznie patrząc, aby ani gram chleba nie został im przy podziale odjęty. Za każdą spadającą kruszyną spoglądały wygłodniałe oczy. Iluż to ludzi, dawniej na poważnych stanowiskach, tłumaczyło mi, że gdyby każdemu z beznadziejnie chorych odjąć po 1, 2 gramy, można by co dzień nakarmić kilku zgłodniałych. To trudny bardzo problem i temat tabu, dość skwapliwie przez wielu omijany lub też zbywany niedostatecznymi wypowiedziami. Ale zdarzały się, można rzec i na co dzień także, dość pospolite lub nawet ordynarne kradzieże. W rewirze na przykład nie było zawodowych stubendienstów. Do sprzątanania i rozdawania jedzenia często używano się podleczonego chorych, rekonwalescentów, kandydatów na sanitariuszy itd. Trzeba ich było jednak bacznie obserwować, bo zaraz mieli kolegów, których chcieli żywić kosztem właśnie tych najciężej chorych. Wiele znam takich wypadków. Czasem zdarzały się przypadki rabunków dużych. Pamiętam, pewnej soboty w Gross-Rosen w rewirze zginęło wieczorem wiadro smalcu, które miało być wydane w niedzielę jako dodatek do chleba dla 1500 chorych. W soboty wydawano chleb i dodatki na soboty i niedziele razem. Było to już po gongu. Zarządzono rewizję w całym rewirze. Znalaziono wiadro na najwyższym łóżku pod zagłówkiem. Do ostatniej chwili dwóch chorych wyjadało z niego rękami smalec. Odebrano zaledwie połowę, zmieszaną z trocinami z zagłówka. Dwaj starzy kartoflarze. Obydwaj zostali potem zwolnieni z rewiru. Jednego z nich spotkałem po latach na ulicy. Jakoś zniknął w najbliższej bramie.

Oczywiście, takie rzeczy spotyka się w każdym społeczeństwie, w każdym zbiorowisku ludzkim; znacznie częściej występują w środowiskach spauperyzowanych, ale spotkać można je wszędzie. W więzieniach, w szkole, w domach wczasowych, w szpitalach, w wojsku, na wycieczkach, dlaczego nie miało ich być w obozach? Tam głód przekraczał ramy wytrzymałości psychicznej i fizycznej, a te nie u wszystkich ludzi są jednakowe.

Wiele nad tym zastanawiałem się już wówczas. Nie widziałem jednak innej drogi, jak przestrzegać wszelkimi sposobami sprawiedliwego podziału, mimo że nie było to zbyt popularne. Ciężko chorzy, wiadomo, najczęściej umierali. Spryciarze łatwiej przetrzymywali. Temat nieco wstydlivy, ale przecież ludzki.



Drugi taki temat to praca. Oczywiście, każdy więzień miał prawo pracować tak, jak chciał, aby oszczędzać swe siły i jakoś obóz przetrzymać. Ale czy można było stosować ten sam wymiar w stosunku do sanitariusza czy nawet lekarza, czy nawet pracownika przyuczonego do pracy sanitarnej. Przecież ta praca trwała dłużej niż inna w obozie. Przecież takie rzeczy dzieją się i dziś w wolnym państwie. A przecież zdarzały się przypadki odmowy pracy, nawet przez fachowych pracowników. Pamiętam dość osobliwy przypadek wiosną 1943 roku, kiedy podczas normalnej pracy sanitariusze jednego z oddziałów poszli opalać się na słońcu do dołu żwirowego i trzeba ich było zmusić do pracy. Ta praca, tam w obozie, była naszym powołaniem i zaszczytem. Nie pracowaliśmy dla prześladowcy, pracowaliśmy dla naszych współtowarzyszy. Najpierw praca, a potem przyjemność.

Późnym latem 1942 roku, po majowym zamachu na protektora Czech i Moraw, dowódcę policji i SS oraz głównego dyspozytora obozów koncentracyjnych, Reinharda Heydricha, aresztowano wielu czeskich patriotów i zesłano do obozów koncentracyjnych. Dość dużo przywieziono do Gross-Rosen. Tu byli przez jakiś czas specjalnie szykanowani i pracowali w kamieniołomach. W badaniach wstępnych tego transportu nie brałem udziału. Był sam Lagerarzt Jobst. Przeprowadził osobiście jednego z więźniów czeskich i kazał mi się nim zająć, bo potrzebuje on opieki lekarskiej. Nie wolno go zwolnić z rewiru bez jego wiedzy. Był to inteligent, bardzo kulturalny człowiek, nieco wyniszczony z więzienia, starszy wiekiem, około 60-letni. Na lewym oku miał bielmo. Potem dowiedziałem się, że jest to pułkownik czeskiej armii Vasatko – po wojnie generał. Wtedy nie wypytywałem o nic. Zająłem się nim jak chorym. Tego samego dnia po południu do rewiru przyszedł sam Lagerführer Thumann, co było wypadkiem wyjątkowym. On rewiru nie lubił i w rewirze niechętnie bywał. Wtedy jednak głośno wołał: Wo ist der tschechische Oberst? Zameldowałem mu, że nie znam żadnego czeskiego pułkownika. Ale usłużny kapo Lösche wskazał mu chorego Vasatko. Zabrał go natychmiast i popędził przed sobą. Posłałem na Blockführerstubę sanitariusza, że Lagerarzt jest pilnie potrzebny. Jobst przyjechał zaraz na rowerze. Powiedziałem mu, co się stało. Był tym wzburzony i zaraz odjechał. Po pół godzinie wrócił, był w towarzystwie Eschnera i obok nich siedł chory. Zawołał mnie, kazał zabrać chorego i przy Eschnerze głośno powiedział: Za rewir odpowiadam ja i bez mojej wiedzy nikt nie ma tu nic do szukania! Był to duży dyshonor dla Eschnera usłyszeć taką wypowiedź w obecności więźniów, ale nic się nie odezwał. Od tego czasu ani Eschner, ani Thumann nie wchodzili do rewiru. Dla nas, sanitariuszy, nie było to korzystne, bo od tego czasu nie śmieliśmy się pokazać na obozie, żeby nie podpaść. Czech Vasatko został jednak już, nie niepokoiony, w rewirze i później został sanitariuszem. Czesci w obozie byli grupą narodową bardzo solidarną.

Od tego czasu wojna podjazdowa między Lagerarztzem a Lagerführerem stała się otwartą wojną. Jeden drugiemu odwdzięczał się pięknym za nadobne. Jesienią 1942 roku przywieziono do obozu niemieckiego politycznego więźnia nazwiskiem Samol lub Salomon. Został od razu przydzielony do pracy w rewirze. Cieszyliśmy się, bo młody i energiczny lekarz, w dodatku ze znajomością niemieckiego, bardzo byłby się nam przydał. Następnego dnia Thumann przeglądał wybrany do wyjazdu w transport ludzi z bloków i potem przysłał na rewir, żeby dołączyć do tego transportu wczoraj przyjętego lekarza. Pobiegłem zawiadomić Jobsta, który w ambulatorium czytał gazetę. Był wzburzony i powiedział: Das ist doch unmöglich! Das ist ein Himmelskommando. Pobiegł zaraz do Thumanna i długo się na boku sprzeczali, jednak nic nie uzyskał. Ten lekarz wyjechał. Nie wiem dokąd wyjechali. Wtedy mówiono o Oświęcimiu.

Jesienią i zimą 1942 roku powoli uzupełniano łóżka w rewirach. Do wiosny 1943 roku wszędzie były już łóżka. W zimie 1942 roku łóżka przydzielano tylko cięższym chorym. W rewirze drugim miałem wtedy kilkunastu chorych po resekcjach żeber, z drenowanymi jamami opłucnej i założonymi syfonowymi urządzeniami do odciągania ropy. Oni zajmowali wszystkie dolne łóżka, których nie było jeszcze wiele. Wieczorem poszedłem ich odwiedzić. Blokowy Saroki z Gdańska powyrzucał ich z łóżek i umieścił na jednej sali na sieniach. Urządzenia syfonowe i butle stały wyżej, płyn z butli wlewał się z powrotem do opłucnej. Dopiero po ciężkiej kłótni udało się umieścić tych chorych z powrotem w łóżkach. Od tego czasu uprościłem ten zabieg. Nie wykonywałem więcej typowych resekcji, ale przebijałem grubym troacarem przestrzeń międzyżebrową i przeprowadzałem w ten sposób drenik ze ściętego cewnika do opłucnej i podłączałem syfon. Był to zabieg wielokrotnie lżejszy i dlatego doraźnie co najmniej trzecia część chorych wychodziła. Zabieg ten po wojnie stał się obowiązkowym.

Medycyna obozowa była odmienna. Czasami spotykało się przebiegi wprost niewiarygodne. Pamiętam innego chorego z jesieni 1942 roku. Był to jeden z jeńców radzieckich. Został on zepchnięty z pomostu drewnianego w latrynie obozowej i wpadł do dołu kloaczego tak fatalnie, że doznał otwartego pełnego wywichnięcia stawu skokowego z odłamaniem zupełnym kostki przyśrodkowej. Tak go przyniesiono do rewiru. Kiedy go z trudem domyto i zbałem go, doszedłem do wniosku, że w warunkach obozowych rozsądniej będzie amputować stopę niż stracić życie. Tak mu też sprawę przedstawiłem. Płakał, nie chciał się zgodzić i prosił, żeby nie amputować. Ponieważ musiałem odejść do swych zajęć, ułożyłem go na kozetce koło kranu i puściłem wodę do stawu, nie odprowadzając na razie zwichnięcia. Tak płukał się około 3 godzin. Potem odprowadziłem zwichnięcie, do stawu założyłem kilka nici katgutowych na sączki, wygotowanym cienkim gwoździem przez skórę zespoliłem kostkę i założyłem szwy pozycyjne na ranę. Bezpośrednio na skórę

opatrunek gipsowy bez podściółki i wysokie ułożenie nogi na szynie. Z lekarstw otrzymał jedynie przez 4 dni po 10 tabletek prontosilu. Doglądałem go codziennie. Nie zagończywał ani razu. Po 3 tygodniach wyjąłem gwoździak, nie ruszając opatrunku gipsowego, po 10 tygodniach zdjąłem gips. Zgojony całkowicie, bez najmniejszego ropienia. Ruchy zachowane. Byłem zafascynowany specjalną odpornością tego człowieka. Od tego czasu zacząłem stosować kąpiel w bieżącej wodzie przez 20 do 30 minut w każdej brudnej i szarpanej ranie, zwłaszcza palców i dopiero potem wykonywałem zamierzony zabieg. Przebiegi były o wiele lepsze niż uprzednio. Po wojnie także stosowałem ten system w mojej praktyce lekarskiej i dopiero w latach pięćdziesiątych spotkałem się w literaturze z opisem takiego postępowania, stosowanego przez jakiegoś egipskiego lekarza.

Lata 1942-1943 były dla mnie trudne. Bardzo dużo chorych, brak środków, brak możliwości, czasem brak wiedzy i doświadczenia. Doksztalcałem się nocami z tego co miałem, a więc polski kalendarzyk lekarski, chowany w sienniku, bo po polsku, a więc niedozwolony. Miałem wypożyczony od Jobsta skrótowny podręcznik chirurgii Sonntaga, więc czytałem w wolnych chwilach. Nie było jednak z kim podyskutować, nie było się kogo poradzić. Lagerarza Jobsta to nie obchodziło. On raczej stronił od chorych. W zimie około świąt Bożego Narodzenia skradziono mi ten kalendarz lekarski, wówczas bezcenny dla mnie przedmiot i podarek od kolegi w Oświęcimiu, Bernarda Świerczyny. Odnalazł się, jednak w stanie podartym na części, po 2 lub 3 miesiącach w sienniku pewnego więźnia zwolnionego do domu. Wstyd mu było, kiedyśmy się spotkali po wojnie.

Pamiętam wiele różnych wydarzeń lekarskich z tego okresu. Był pewien młody 25-letni Czech. Gorączka 39-40 stopni. Wymioty. Brzuch twardy, deskowaty, peritoniczny. Język suchy, wygląd twarzy Hipokratesa, pacjent wzięty. Poprosiłem Jobsta o konsultację. Zgodził się chyba tylko dlatego, że chodziło o Czecha. Był tego samego zdania, co ja. Peritonitis. Prawdopodobnie coś pękniętego, może tylko wyrostek. Nigdzie wyjechać nie może. Bez zabiegu na pewno umrze. Po zabiegu, nie wiadomo. Radził otworzyć. Po przygotowaniu chorego, w oszołomieniu ehloretyl-eterowym otworzyłem brzuch z cięcia przyprostnego. Trochę krwistej wydzieliny. Nekrozy Balzera na sieci, obrzęk wyrostka. Pancreatitis acuta. Szybka appendectomy. Drenik do brzucha. Dużo glukozy. Wyprosiłem dla niego z SS-rewiru kilka ampułek albucidu. Nic innego nie mieli. Łykać nic nie mógł. Niestety, w ciągu doby zmarł. To była jedyna, i w dodatku bez efektu leczniczego, laparotomia wykonana w tym obozie. W tym samym czasie zdarzyły się dwa przypadki ropnego zapalenia wyrostka sutkowego po zapaleniu ucha środkowego. Na skutek silnych bólów, gorączki i zawrotów głowy coś trzeba było przedsięwziąć. W obu przypadkach, po typowym cięciu małym dłućkiem stolarskim, otworzyłem wyro-

stek sutkowy i założyłem drenik. Oba przypadki wygoiły się całkowicie. Niestety, u jednego z nich pozostało małe porażenie nerwu twarzowego.

Było bardzo dużo martwic palców nóg w zimie 1943/44 roku. Przy obrzędach głodowych i pracy na mrozie następowała często nekroza palców, czasem nawet wszystkich. Trzeba było prawie codziennie wykonywać po kilka amputacji. Gojenie nie było najgorsze, jednak po wyjściu do pracy ludzie ci ginęli po prostu z głodu. Obserwowałem w Gross-Rosen bardzo dużo przypadków, na pewno ponad dwadzieścia, całkowitej nekrozy moszny przy obrzędach głodowych. Jest to sprawa niezwykle bolesna, miejsce szokujące, kiedy pozbawione jakiegokolwiek osłony jądra uniemożliwiają jakikolwiek ruch, nawet w łóżku. Operowałem te przypadki po oczyszczeniu podłoża za pomocą okładów z riwanolu, w znieczuleniu miejscowym. Po uruchomieniu skóry najbliższego otoczenia, w kroczu, na pośladkach i na udach, przesuwalem płyty uszypułowanej skóry z uda lewego i prawego i wykonywałem kieszeń skórną zastępującą mosznę. Kilka wyleczonych przypadków opuściło rewir, jednego nawet spotkałem jeszcze po kilku miesiącach. Nie mogłem tego uznać jednak za całkowite wyleczenie, ponieważ w ten sposób powstawała kieszeń skórną w formie jakby furazerki w kroczu, jądra ustawiły się nienaturalnie jedno przed drugim i przy siadaniu i chodzeniu nie było to całkiem obojętne.

W zimie 1942/43 coraz częściej przychodziły z Wrocławia dodatnie wyniki Weil-Feliksa, z wysokimi mianami. A więc tyfus plamisty był w obozie. Zdarzały się też bardzo dodatnie odczyny Widala na dury i paradury. Sytuacja stawała się niezbyt wesoła. Koledzy przybywający z Oświęcimia przywozili już wiadomości o okresowych niszczeniach chorych przez gazowanie. Postanowiłem działać dwukierunkowo. Po pierwsze, bardzo dokładne codzienne odswadzanie chorych i ich otoczenia, obowiązkowe sprawdzanie nawet na sobie samym i u sanitariuszy. Po drugie, przy wysyłaniu materiału do badania umieszczać fałszywe nazwiska innych beznadziejnie chorych lub nawet konających. Nazwisko to znaczyłem na odwrotnej stronie karty chorego. W końcu 1942 roku przybył do obozu dr Kazimierz Frączek z Kolbuszowej. Pozostałem mu, jako staremu praktykowi, tylko sprawy tyfusowe i ciężko chorych wewnętrznych, odciążając od innych zajęć. Przyznać trzeba, że zajmowałem się nimi bardzo serdecznie i szczerze żałowałem, kiedy po trzech czy czterech miesiącach został zwolniony do domu. Po nim przyszedł do obozu starszy wiekiem lekarz francuski Ludwik Lafon, ale on był chirurgiem i lekarzem z Zachodu, gdzie tyfus i dury są niezmierną rzadkością. Tak więc sprawy zakaźne spadły wyłącznie na mnie. Niedługo jednak po tym wrócił z komanda Lissa dr Żegleń, sam także z durem czy salmonellozą, ale po wyleczeniu objął sprawy zakaźne na stałe, i prowadził je aż do końca obozu. Trzeba jednak bezstronnie przyznać, że stała profilaktyka przeciw wszom dała jednak rezultaty. Ludzie nauczyli się tego, zobaczyli, że daje pozytywne rezultaty i w sumie nigdy w Gross-Rosen do dużych epidemii tyfusu plamistego nie doszło.

Do końca 1942 roku udało się wprowadzić do rewiru już całą grupę polskich pracowników i pozbyć się niektórych Niemców. Pierwszym polskim sanitariuszem był Ludwik Waclawek. Stary więzień, bardzo spokojny i uczciwy, z czasem objął sprawy żywienia w rewirze. Władysław Kotula, stary i doświadczony aptekarz, przejął sprawy apteczne. Władysław Dąbrowski, Kazimierski, Skrzyński pracowali w ambulatorium i na salach chorych. Potem przybyło wielu innych, jak Kalista, Orłowski, student medycyny Włodzimierz Chojnacki. Z transportem do Dachau wyjechał stary BV-er Franz Grabowski. BV-er Adolf odszedł na sanitariusza do kamieniołomów, a potem wyjechał gdzieś na komando. Odczuwało się znaczny brak przeszkolonych pracowników medycznych, ale obsada nie zależała od nas. Czasem udało się kogoś przyjąć w stan chorych i w ten sposób zdobyć nowego pracownika. Na Nowy Rok 1943 stan obozu dochodził do 7000 (6820), a w obozie było tylko około 3000 ludzi, z czego w rewirze co najmniej 800 do 1000. Około 1000 do 1200 wyjechało w różnych transportach do innych obozów. Wtedy nazywało się to wyjazdem do Dachau. Niektóre z tych transportów wyjeżdżały otoczone tajemnicą, jakby wyjeżdżały w nieznane. Nie prowadziło się centralnej księgi zgonów, jedynie książki blokowe na poszczególnych rewirach. Codziennie odsyłało się imiennie-numerowy wykaz zmarłych do SS-rewiru, gdzie mieściła się odpowiednia kancelaria rewirowa. Dla chorych zmarłych w rewirze dopisywało się przyczynę zgonu. Dla zmarłych dostarczanych z komand czy bloków tego nie wymagano. Sprawy te prowadził jednoosobowo niemiecki więzień polityczny Werner Jacobi. Uchodził za prawnika, mówiono o nim Rechtsanwalt. On wypisywał wszelkie dokumenty dotyczące zgonów. W Gross-Rosen nigdy nie rozbudowano dokumentacji rewirowych i dotyczących zgonów do takich granic, jak to miało miejsce w Oświęcimiu. Chyba dlatego trudniej jest dziś zdobyć dane liczbowe, dotyczące więźniów chorych i zmarłych. Również w Gross-Rosen używano zaledwie około 30 rozpoznanych zgonów, a więc trzykrotnie mniej niż w Oświęcimiu. Nie znaczy to, że rozpoznania grossroseńskie były prawdziwe. Wszystkie były fałszywe. Kiedyś nawet Jacobi powiedział mi, że możemy zaniechać pisania przyczyn zgonów, bo on i tak wstawia takie, jaka leci kolejność w spisie.

Na przełomie 1942/43 roku doszły nas wieści o klęsce stalingradzkiej. Niemcy zaostrzyli znacznie kurs w obozie. Szpiclowanie w obozie wzmogło się, zakazano wszelkich rozmów na tematy polityczne. Trzeba się było bardzo strzec, bo szpicle Eschnera byli wszędzie, a kompania karna stała się powiększała. W 1943 roku obóz stale rozrastał się, przybywały coraz to nowe transporty więźniów, wzrastała więc liczba chorych i liczba zgonów. Wyżywienie w obozie nie poprawiło się, ale otrzymywane paczki żywnościowe znacznie poprawiły wyżywienie w obozie. Ja też otrzymywałem paczki z domu od matki oraz od siostry z Sokółki. Białostockie zostało przyłączone do Rzeszy i poczta przychodziła stamtąd szybciej niż z GG. Niektórzy więźniowie otrzymy-

wali bardzo dużo paczek. Mówiono wtedy, że to z RGO. Wszystkie paczki podlegały kontroli. W Gross-Rosen kontroli dokonywał osobiście Thumann. Odbywało się to w kancelarii głównej. Zabierano z paczek wszelkie lekarstwa dla rewiru, paczki większe obcinano często dość znacznie i zabrane produkty rozdzielano między więźniów funkcyjnych, najczęściej Niemców. Dlatego, kiedy pewnego dnia przyniesiono takie „obrzynki” do rewiru z polecenia Thumanna i chciano mi także przydzielić, podziękowałem mówiąc, że sam otrzymuję paczki i jeszcze nie zjadłem wszystkiego. Opowiadał mi potem Doliński z kancelarii, że Thumann był tym oburzony i powiedział nawet do Eschnera: Zu stolz ist der verfluchte Polacke. Darf niemals mehr was kriegen!

Rządy Thumanna skończyły się dość nagle, w końcu lutego 1943 roku. Mówiono wtedy o jakichś nadużyciach i kradzieżach, ale trudno było nam więźniom dojść prawdy. W każdym razie pewnym jest, że on sam kradł i kradli jego podwładni, oczywiście odbywało się to kosztem więźniów, którzy byli w dodatku w drakoński sposób maltretowani. Następcą Thumanna został SS-Obersturmführer Walter Ernstberger, były Lagerführer w Mauthausen. Myślę, że po prostu, w związku z planowaną olbrzymią rozbudową Gross-Rosen, Thumann, nawykły jedynie do terroru, strachu i pospolitego działania, nie nadawał się do nowej funkcji. Ernstberger był już ostatnim Lagerführerem Gross-Rosen i pełnił swą funkcję aż do końca wojny. Od stanu obozu 8300 więźniów do stanu końcowego około 125 000. Od stanu zabitych i zmarłych około 4000 do co najmniej 40 000. Od jednego Aussenkommanda Lissa, liczącego 150 ludzi, do około 100 komand zewnętrznych, zatrudniających ponad 100 000 ludzi<sup>5</sup>. Po wojnie obu Lagerführerów Gross-Rosen, Thumanna i Ernstbergera, spotkał ten sam los. Rozpoznani w strefie angielskiej, obydwaj skończyli na stryczku. Nie za zbrodnie popełnione w obozie, ale za rozstrzeliwanie angielskich lotników i spadochroniarzy.

Równocześnie nastąpiła zmiana komendanta obozu. Dotychczasowy komendant Obersturmbannführer Arthur Rödl odszedł do Buchenwaldu, przejściowo funkcję komendanta pełnił Sturmbannführer Gideon, a w marcu 1943 r. komendantem został Sturmbannführer Johannes Hassebroek. Ten także był już komendantem końcowym. Myślę zatem, że nie drobne złodziejstwa, bo te były wszędzie, i nie obrona interesów więźniów, bo o to nie chodziło nigdy, ale zmiana zadań i zamierzona olbrzymia rozbudowa obozu i jego komand roboczych, była przyczyną zmian personalnych.

Zmiany te odbiły się szerokim echem w obozie. Nowy Lagerführer ogłosił zakaz bicia i maltretowania. W praktyce jednak nigdy nie ukarano nikogo za bicie. Skończyło się codzienne wędrowanie Lagerführera z kozłem do bicia

---

5. Liczba podana przez autora w odniesieniu do podobozów jest zawyżona, bowiem w okresie funkcjonowania systemu KL Gross-Rosen (obozu głównego i jego filii) przeszło przez niego około 120 tysięcy więźniów.

po obozie. Przychodził na apele zawsze w białych rękawiczkach, z zawadziacko na bakier założoną czapką, zawsze uśmiechnięty. Ogłosił w niedzielę zawody piłki nożnej i mecze bokserskie, i o dziwo Lagerführer obozu koncentracyjnego, gdzie wcale ludzie nie przestali umierać ani być zabijanymi, jak gwiazdor filmowy zdobył sobie dużą popularność. Nic się jednak nie zmieniło. Ludzi coraz więcej rozstrzelowano. Prawie codziennie. Zamiast stałych kontroli dziennych zaczęły się naloty i kontrole nocne. Pozycja bandyty Rapportführera Eschnera nie uległa osłabieniu, a wręcz wzmocnieniu. Ernstberger nie tylko nie rezygnował z bicia, ale sam je uprawiał, z tym tylko małym zastrzeżeniem, że dokonywał „prawidłowego bokserskiego” nokautu na bezbronnym więźniu. Sam się tym nawet chwalił. Dwa razy złamał przy tym piąty palec prawej ręki. Składałem mu i gipsowałem, a potem masowałem i rehabilitowałem. Z humorem przy tym opowiadał, że słusznie mu się to stało, bo jego cios nie był czysto wyprowadzony. Ano, można to i tak ująć.

Piłką nożną wtedy w obozie entuzjazmowali się wszyscy. Powstanie aż trzech drużyn piłkarskich polskich i dwóch niemieckich, najlepiej o tym świadczy, a kibiców było jeszcze więcej. Najmniej było zwolenników boksu, no bo trudno było znaleźć przeciwników dla wysportowanych na polskich plecach i wyżartych na kradzionym jedzeniu niemieckich bevauerów. Ja sam boksu nigdy nie lubiłem. Raz jednak musiałem tam na placu podczas meczu pełnić dyżur lekarski. Wtedy miałem wielką satysfakcję osobistą. Po kilku marnych spotkaniach, gdzie ciągle wygrywali Niemcy, nie było już właściwie ochotników na przeciwników. Wyszedł nasz Lagerältester Schaly Pikiel i wyzwał przeciwnika. Dość długo nikt się nie zgłaszał i nagle wystąpił mały i chudy Polak. Niejaki Kowalewski. Bałem się o niego, że go Niemiec zabije. Znałem jego uderzenie, sam znokautowany przez niego w chwili przyjęcia do obozu. Wyglądali jak Dawid i Goliat. Mecz zaczął się podskakiwaniem i poznawaniem się przeciwników, i nagle jedno uderzenie i nasz przyłożył szwabowi tak rzetelnie, że padł i nie mogli go docucić. Co za satysfakcja móc tak choć raz bezkarnie wałnąć w niemiecką mordę! Był szalony entuzjazm, ale zwolenników boksu było coraz mniej, bo to mogło się skończyć niebezpiecznym rewanzem poza ringiem. Tak boks zginął własną śmiercią. Piłka nożna była jednak dość długo uprawiana i miała wielu zwolenników. Najlepsi jej kapitanowie to koledzy Zbigniew Zbyszewski i Władysław Torliński, stomatolog.

W marcu 1943 roku odszedł z rewiru kapo Herman Lösche. Miał być zwolniony, ale podobno wykończyli go po drodze. Był za długo świadkiem. W połowie marca wrócił z komanda Lissa dr Żegleń, wychudzony i schorowany. Przechodził jakąś salmonellozę i ledwie stał na nogach. Obaj popłakaliśmy się przy spotkaniu. Najpierw do łóżka, a potem razem do pracy. Został wymieniony przez dr. Jabłońskiego z powodu choroby. Wrócił także kapo Prill. Ten bandyta bił Żeglenia i wykańczał pracę. Osobiście zabił ponad 100 ludzi z komanda.

W Gross-Rosen trudno było o dietetyczne jedzenie. Czasem gotowali jakiś pęczak, ale nie zawsze. Zdoylem trochę grysiku i nocami w sterylizatorze gotowałem Józkowi kleiki. Powoli, w ciągu około 3 tygodni, Żegleń wrócił do pracy i objął cały oddział zakaźny i połowę rewiru trzeciego, resztę Francuz Lafon i ja. W tym samym marcu przybył z Oświęcimia duży transport, który po krótkiej kwarantannie w dużej części został wysłany na nowe komando do Hirschberg. Pojechało tam dwóch studentów medycyny Dziaduś i Czarnek. Trzeci, już prawie na ukończeniu studiów, Włodek Chojnacki został u nas w rewirze. Rzadko zdarza się tak sumienny człowiek i lekarz, i tak pracowity jak był Włodek. Był istną moją podporą w pracy. Szedł od jednej roboty do drugiej jak automat i trzeba go było pilnować, czy zjadł, i czy wyspał się dostatecznie. Oczywiście to poważnie nadszarpnęło jego siły. Po sporcie urządzonym nam przez Eschnera miał ciężką anginę. Potem przyplątały się dolegliwości reumatyczne i sercowe. Przettrzymał wojnę, skończył studia, był lekarzem bodaj w Brzesku Nowym, ale niedługo. Odszedł nagle i niespodziewanie, osierocając rodzinę.

W 1943 roku przybywało chorych, wzrastała liczba zgonów, dużo transportów przychodziło i dużo odchodziło. Liczba więźniów tylko w 1943 roku co najmniej podwoiła się. Rewir był ciągle przepełniony, oba schonunki także. Praktycznie 1500 i więcej ludzi było stale niezdolnych do pracy. Nie było dokąd posyłać ludzi do lekkiej pracy. Kartoflarnia już dawno była zapelniona przez chroniczków, których nie można było zwolnić. Co prawda taka zmiana byłaby nawet pożyteczną, bo siedząc w pobliżu złodziejskiej bandy kucharskiej, sami nauczyli się kraść. W tej sprawie nie było z kim rozmawiać. Eschner niejako z urzędu patronował wszelkim kradzieżom i łajdactwom. Nasz Jobst nie za bardzo reagował, łagodzone go zaraz paczką dla psa Rekxa i wszystko było dobrze. Eschner powoli uzyskał duży wpływ na nowego Lagerführera Ernstbergera i właściwie on dalej rządził w obozie. Czasem podrzucał coś Lagerführerowi, jakąś kontrolę i sam zostawał w cieniu. Tak na przykład było z wyspą seksualną w schonungowym bloku 16. Wpadł tam w nocy i przyłapał na gorącym uczynku dwóch Niemców, blokowego i sanitariusza, oraz młodego polskiego malarza. Zostałem wezwany tam w nocy. Zostałem wszystko jeszcze w stanie nienaruszonym. Ernstberger pieklił się na mnie, co ci ludzie robią w schonungu w nocy. Odpowiedziałem spokojnie, że blokowych wyznacza Lagerführung, sanitariusza niemieckiego jeszcze poprzedni lekarz, a malarza przysłał tu Rapportführer, żeby malował landschafty dla Lagerführera. Za te landschafty wściekł się Ernstberger, Eschner zzieleniał ze złości. Koniec końców Ernstberger wlał osobiście każdemu po 10 bykowców na gołe ciało i rozeszło się po kościach. Ale za kilka dni schonung rozwiązano, a więc pozabawiono około 100 chorych niewinnych ludzi miejsca odpoczynku.

W lecie 1943 roku, celem wykorzystania do pracy nawet chorych i osłabionych więźniów, stworzono w obozie na miejscu, w specjalnie wybudowa-



nym dużym baraku, poniżej krematorium a przy końcu Lagerstrasse, nowe komando tkaczy, czyli Weberei. Wypłacali oni z nadsyłanych odpadowych materiałów różne wojskowe pasy, torby itd. Kapo mieli nie nadzwyczajnego Paula M., sążonego zresztą po wojnie. Kiedy raz interweniowałem u niego w sprawie pobitych chorych, otrzymałem sam po głbie. Po wojnie spotkałem go. Bardzo mnie przepraszał. Wolałem nie rozpoznać go. To komando było jednak dla wycieńczonych ludzi lepsze niż wystawanie pod płotem na schronungu u Winkelmannna. Poza tym rozrastało się i powoli zaczęło zatrudniać 150 do 200 wycieńczonych ludzi. Obok budowano baraki dla komanda Siemens, ale powstania tego komanda ja już nie doczekałem. Pamiętam tylko sprawę do czasu mej choroby, tj. do końca października 1943 roku.

W 1943 roku przybywały coraz to nowe transporty do obozu. W stosunku do nowo przybyłych stosowano zwykle kwarantannę. Powinna ona trwać do 2 tygodni, ale skracano ją do kilku dni lub też w okresach większego zapotrzebowania na siłę roboczą, nie stosowano wcale.

Na tym tle doszło w obozie Gross-Rosen do wybuchu epidemii jaglicy w lecie 1943 roku. W połowie lata, chyba już pod koniec lipca, przybył do obozu pierwszy bardzo duży transport z terenów ZSRR. Co najmniej w połowie był on złożony z jeńców wojennych. Ale było też dużo osób cywilnych, wojennych uciekinierów, kolchoźników, robotników itd. Przegląd lekarski tego transportu, bo tak można by to nazwać, odbywał się na Lagerstrasse, przy samym jej końcu. Tam, gdzie wtedy zaczynała budowę Weberei i potem Siemens. Dużą część przeglądał Żegleń z Jobstem, resztę ja z jednym sanitariuszem, a Jobst siedział sobie na stołku i zabawiał się z psem. Ludzie podchodzili grupami, po mniej więcej 100 osób. Przeważali ludzie starsi wiekiem, gdzieś z dalekich okolic Związku Radzieckiego, gdzieś aż z Kazachstanu i Azji Środkowej. Trudno się było z nimi porozumieć, nawet nasz tłumacz Igor Gurewicz miał z tym kłopoty. Ludzie ustawiali się w dwuszeregu, rozbierali się do naga, a ja z sanitariuszem dokonywałem wizualnego przeglądu lekarskiego. W Gross-Rosen nie zakładało się, jak to robiono w Oświęcimiu, żadnych kart typu Aufnahmebefund. Po prostu przeglądało się ludzi i wypytywało w razie potrzeby o przebyte choroby czy kalectwa, zaglądało do ust, sprawdzało czy nie ma anomalii, przepuklin itd. Oczywiście, sprawdzało się przy tym czystość, zaszawienie, świerzby i inne łatwo dostrzegalne braki zewnętrzne.

Wtedy zauważyłem kilkunastu ludzi, którzy zwracali uwagę swym wyglądem. Maskowate twarze, apatyczność, opadanie i deformacja powiek, brak rzęs, zmętnienia rogówek. Taki wygląd nazywamy u nas kaprawym. Egzotyczni ludzie, kaprawe oczy, zatem myśl o chorobie też egzotycznej, zwanej egipskim zapaleniem oczu, czyli jaglicy, nasuwała się sama. U nas jaglica przed wojną nie była już częstą chorobą, ale jeszcze u 1% populacji spotykało się ją, zwłaszcza w dzielnicach wschodnich. Miałem dlatego o niej pojęcie raczej teoretyczne. Ponieważ jednak nasz profesor okulistyki Majewski napisał wła-

śnie małą rozprawę na temat jaglicy, wymagał od studentów jej znajomości, więc znaliśmy ją prawie na pamięć. Zdałem sobie zaraz sprawę czym to może grozić w takim środowisku ludzkim. Ludzie ze środkowej Azji, tam jeszcze są ogniska endemiczne jaglicy. Ale tu nie ma typowych jagieł. Jest wiele zmian już jakby bliznowatych, następowych, w każdym razie starych. Czy to jeszcze jest zakaźne? Poprzez tłumacza dowiedziałem się jedynie, że tam skąd oni pochodzą chorują prawie wszyscy. Ta choroba długo trwa. Przekazałem to wszystko Lagerarzтови, proponując kwarantannę i dokładną obserwację w czasie kwarantanny. Jobst zbagatelizował jednak całą sprawę. Oglądnał ich z daleka, żadnego nawet nie dotknął. Zdecydował, że więcej tu brudu jak choroby. Szkoda sobie zawracać głowę. On sam nigdy jaglicy nie widział, bo w Niemczech tego nie ma, uważa, że mogą pracować bez zastrzeżeń. Zresztą i tak wkrótce wymrą i będzie spokój. To jest choroba brudasów.

Nie było więc kwarantanny. Co gorsza, podzielono ich na bloki po całym obozie, gdzie tylko były wolne miejsca. Powoli zapomnieliśmy o tej sprawie. Ale po około 14 dniach dr Żegleń, który prowadził poradnię dla chorych na oczy z komanda Steinbruch, przyszedł do mnie wieczorem poważnie zaniepokojony. Co jest, pyta, że codziennie zgłasza się więcej chorych na oczy. Jakies stany świeże, zapalne, zaropiałe. Nigdy dotychczas tego nie było. Trzeba dodać, że w Gross-Rosen, zwłaszcza w pierwszych latach sprawa higieny przedstawiała się tragicznie. Wtedy dopiero zakładano sieć wodną i kanalizacyjną do poszczególnych baraków. Mycie odbywało się we wspólnym korytku i we wspólnej wodzie. Na 10 do 15 ludzi wydawano 1 ręcznik. Za każdym razem wycierano się w inny ręcznik, który był pod ręką. Cały obóz korzystał z jednej wspólnej latryny polowej.

Największa część więźniów pracowała w kamieniołomach. Tam był duży pył i łatwo dochodziło do zaprószenia oczu. Z braku chusteczek oczy przecierano byle jaką brudną szmatką, rękawem czy palcami. W ten sposób łatwo dochodziło do zakaźnych i ropnych spraw ocznych, jak zapalenia śluzówek, powodujące uporczywe sączenie śluzowo-ropnej wydzieliny, łzawienie, zaczerwienienie i pieczenie oczu. Dlatego dla tych ludzi powstała wieczorna poradnia, prowadzona przez jednego lekarza, który miał do swej dyspozycji 1-2-% roztwór targesiny i 1-% żółtą maść oczną, tzw. ungu.Hg. oxydat. flavum. Ponadto mieliśmy pod ręką zawsze zapas wody przegotowanej i soli fizjologicznej do przemywania oczu. Wystąpienie jaglicy w tych warunkach było trudne do wykrycia.

Opowiedziałem Żegleniowi wszystko, co się wydarzyło przed kilkunastoma dniami i o swoich podejrzeniach. Wspólnie przeglądaliśmy kilkunastu chorych. Według nas była to typowa jaglica, z jagłami usianymi pod powiekami, jakby ktoś powieki od spodu pokropił wapnem. Leki dotychczas stosowane kończyły się. Coś trzeba było robić na gwałt. Postanowiliśmy razem porozmawiać z Lagerarzem.

Na drugi dzień rozmawialiśmy z dr. Jobstem. On tego dnia nie był w humorze i miał inny pogląd na sprawę. Właśnie zgłosił się jeden z blokowych, który przyłapał dwóch więźniów dokonujących niezwyklej transakcji. Jeden drugiemu, za chleb, sprzedawał nieco ropnej treści ze swego oka i wsadził to do zdrowego oka kolegi. To jest sabotaż, powiedział, ludzie nie chcą pracować, dokonują niedozwolonych samozakażeń. Nie pamiętam jaka kara spotkała tych dwóch. Przez kilka dni pilnowano na blokach mycia, wydano czyste ręczniki. Jednak codziennie więcej ludzi zgłaszało się z chorymi oczyma. Oceńaliśmy ich ogólną liczbę na około 1000. Postanowiliśmy ponownie rozmówić się z obozowym lekarzem. Postanowiliśmy po prostu zameldować o nowej chorobie zakaźnej i na poparcie przedstawić kilka typowych przypadków chorobowych. Wtedy najpierw zbeształ mnie, że dotychczas nie otrzymywał oficjalnych meldunków o chorobie zakaźnej, co oczywiście nie było prawdą, a potem był tym jednak poruszony. Pytał jak sobie to wyobrażamy, co należy zrobić? Radziłem, żeby pod strażą wysłać najpierw kilka typowych przypadków do najbliższego okulisty lub do kliniki do zbadania, z czym mamy do czynienia. Uznał to za niemożliwe bez zgody Berlina. Po zastanowieniu się jednak powiedział mi, że ma znajomego oficera Wehrmachtu, okulistę w Świdnicy. Jeśli komendant wyrazi zgodę, to on mógłby go tu przywieźć na miejsce i tą sprawę mógłby rozstrzygnąć. Trzeba o tym z komendantem porozmawiać po kolacji, przy koniaku. Po dwóch dniach, rano, przy wizycie powiedział mi, że uzyskał zgodę komendanta na wizytę okulisty. Dziś wieczorem na godz. 18.00 trzeba zgromadzić wszystkich chorych na oczy pod rewirem, ale mają czysto wyglądać. Cały przegląd ma być sprawnie zorganizowany. Zaraz więc przed południem dr Zegleń dokonał przeglądu wszystkich pracujących w obozie. Tylko kilka przypadków do wyjaśnienia było z tej grupy. Wieczorem ustawiliśmy się w bramie obozu wraz z sanitariuszami, zaopatrzonymi w środki dezynfekcyjne do rąk i zapisującymi numery i bloki chorych. Dokonał błyskawicznego przeglądu wszystkich pracujących. W sumie było około 1600 ludzi do kontrolnego badania. Ludzie ci natychmiast po apelu byli zobowiązani wymyć się, w miarę możliwości ogolić i stawić do rewiru do badania lekarskiego.

Punktualnie o godz. 18.00 przybył nasz lekarz obozowy Jobst z pułkownikiem Wehrmachtu, starszym już wiekiem okulistą. Ten zaraz rozpoczął badanie. Już po kilku przypadkach zapewnił nas, że to jest najprawdziwsza w świecie jaglica, jakiej już od lat nie widział. Przegląd zakończył się dopiero późno w nocy. Z całej masy przedstawionych chorych, stwierdził jaglicę w różnych stadiach chorobowych u 1380 ludzi. Ci wymagają natychmiastowego leczenia. Około 900 potrzebuje natychmiastowego zabiegu wygniecenia jagieł. Potem zademonstrował nam swoimi narzędziami, przy użyciu własnych środków znieczulających, jak należy wykonywać zabieg. Podał też cały schemat postępowania leczniczego. Zalecił ściśle stosowanie jednego stereoskopowe-

go schematu leczniczego. Przede wszystkim zniszczyć jagły przez wygniata-  
nie rollpinzetami Knappa. Znieczulenie nowokainą w zastrzykach lub odpow-  
iednimi środkami w kroplach. Osobiście woli zastrzyki. Następnie, do 5 dni,  
przymoczek z soli i lapisowanie, potem środki łagodniejsze, jak Hg.oxycyana-  
tum w roztworach lub fabryczny Argolawal. Zwolnienie z pracy i izolacja około  
2 tygodni po okresie ostrym, razem około 3 tygodni, kontrola ambulatoryjna  
dłuższy czas. Wszystko to skrętnie zapisaliśmy. I jeszcze jedno, w okresie  
ostrym konieczna osłona z albucidu w zastrzykach lub w tabletkach do 12 sztuk  
dziennie. Nad ranem, odchodząc, staruszek był wyraźnie ucieszony. Nigdy  
nie przypuszczałem, że mein lieber Gott pozwoli mi na tak wspaniałe przeży-  
cie, żeby w ciągu jednego dnia zobaczyć tysiąc przypadków trachomy! Ja w ży-  
ciu nie widziałem wiele ponad 100. W warunkach europejskich jest to już  
zjawisko nie spotykane. Nasz lekarz był tym bardzo przybity. Powiedział, że  
to, co zaleca okulista jest drogie i w warunkach obozowych niewykonalne.

Następnego dnia otrzymaliśmy nowy duży barak dla izolacji chorych na  
jaglicę, na dole, poniżej rewiru 3. Nie było jednak środków na leki, nie było  
żadnych widoków na leczenie. Jobst oświadczył, że obóz nie posiada żadnych  
środków na leki, a uzyskanie przydziału leków z Berlina jest bardzo proble-  
matyczne. Raczej trzeba się spodziewać, że będą się starali innymi środkami  
zlikwidować epidemię, być może drogą transportu chorych do innego obozu.  
Naradom naszym nie było końca. Nie wiem już dziś, od kogo wyszedł nasz  
nowy projekt. Od około 3 miesięcy była w obozie tzw. Geldspera. Nie wypła-  
cano pieniędzy tym, którzy posiadali je na koncie. Gdyby ogłosić wypłatę pod  
warunkiem, że taką samą kwotę oddaje się dobrowolnie na leki, to być może  
w ciągu jednego dnia znalazłyby się pieniądze na leki. Omówiliśmy to z La-  
gerarzem. On zaraz poszedł z tym do komendanta. Decyzja pomyślna zapa-  
dła jeszcze tego samego dnia, a wypłatę ogłoszono następnego dnia. Był nie-  
bywały ruch przy wypłacie. Ja też wtedy pobrałem 25 RM, a drugie tyle odda-  
łem na leki. Do wieczora wypłacono podobno ponad 30 000 RM, czyli taką  
samą kwotę zdobyto na leki. Nie wiedziałem jakie drogie są leki, nie wiedzia-  
łem, czy w ogóle można je będzie otrzymać. W każdym razie sporządziłem  
zapotrzebowanie na leki dla 2000 chorych na jaglicę, prowadzonych według  
wskazań okulisty. Na drugi dzień Jobst wyjechał do Wrocławia, czy też do  
innej składnicy na zakupy. Przywiózł rzeczywiście wiele. Po raz pierwszy  
otrzymaliśmy prawdziwe fabryczne kochery elektryczne i sterylizatory, tro-  
chę narzędzi, a przede wszystkim 2 komplety penset rolkowych Knappa, w róż-  
nych wymiarach, do wygniataania jagieł, zestawy strzykawek, zakraplacze,  
pałeczki do maści i wszystkie leki zalecone przez okulistę. Było więc 2000  
amp. albucidu i 40 000 tabl. albucidu, po kilka litrów argolawalu i roztworów  
Hg.oxycyanatum, roztwory lapisu, soli fizjologicznej, tj. tutofusiny, woda  
destylowana, glikoza, maści oczne, pałeczki ałunowe; oraz wiele innych le-  
ków. Przywiózł też wiele materiału opatrunkowego. Nasz aptekarz Władziu

Kotula był zachwycony, ale skrupulatnie obliczał wg podanych na opakowaniach cen i twierdził, że ten zakup nie tylko nam się opłacił, ale i kupującemu.

Pełni optymizmu, już następnego dnia z dr. Żegleniem zestawiliśmy dwa komplety robocze i zabraliśmy się do pracy. Obliczaliśmy sobie, że w ciągu czterech dni uporamy się z zabiegami. Przeżyliśmy jednak rozczarowanie. Nie mieliśmy doświadczenia ani opanowanej techniki. Przy naszych znieczuleniach występował obrzęk powiek i przy zabiegu występowało znaczne krwawienie. Pole operacyjne zalewała krew. Nie mogło być mowy o dokładnym zabiegu, a poza tym chorzy byli po prostu przerażeni, a my zdenerwowani. Przez cały dzień zaledwie 50 zabiegów, tzn. u 25 ludzi. Czekających ponad 900. Trzeba zmienić system znieczulania. Przeszukaliśmy z Kotulą wszystkie nasze zapasy. Sporządziliśmy roztwory do zakraplań z nowokainy 0,5-1%, 2% pantocainy oraz 0,1 i 0,5% perkainy, i po kolei wypróbowaliśmy je. Najlepsza okazała się perkaina w roztworach 0,5%. Znieczulenie najlepsze występowało dopiero po około 20 minutach, ale było doskonałe. Pole operacyjne czyste. Zorganizowaliśmy to sobie praktycznie w ten sposób, że chorzy oczekujący czekali na boku, a sanitariusz dokonywał znieczulenia o pięć osób naprzód. W ten sposób chory podchodził do zabiegu doskonale znieczulony. Krwawienie było minimalne, pole czyste, zabieg szybki. Potem lapis, splotkanie solą fizjologiczną, okład z kwasu bornego i opatrunek, i następny. W ten sposób załatwialiśmy około 250 osób dziennie i po czterech dniach wszystkie ostre przypadki były po raz pierwszy załatwione. Wszyscy otrzymywali przez 5 dni albucid. Całe postępowanie ściśle według zaleceń okulisty. W następnych dniach Żegleń został oddelegowany tylko do jaglicy, robił przeglądy kontrolne, wyznaczał do „poprawek” i zajmował się okładami, zakraplaniami, maściami itd. Ja z kolegą Chojnackim doskakiwaliśmy tylko na godzinę dziennie i załatwialiśmy tylko dodatkowe zabiegi. Więcej lekarzy w obozie nie było, musieliśmy sobie radzić sami. Po trzech tygodniach zaczynaliśmy już zwalniać pierwszych chorych do leczenia ambulatoryjnego. Przed zwolnieniem otrzymywali pouczenie o postępowaniu. Żegleń prowadził wieczorem chorych ambulatoryjnych. Nowej jaglicy zdarzały się tylko pojedyncze przypadki. Zasadniczo w tej pierwszej fazie jaglicy nie spotkaliśmy się ani z poważniejszymi powikłaniami, ani z osłepnięciami. W późniejszym okresie zimowym słyszałem o 2 czy 3 przypadkach powikłanych jednostronnym uszkodzeniem wzroku, ale nie znam tego bliżej. Po wojnie pytałem o to dr. Żeglenia, ale on również tej sprawy nie pamiętał.

Po 4-5 tygodniach, a więc około połowy września można było już mówić o wygasaniu choroby. Stacjonarnych chorych było już mało i mieli dobre warunki, odizolowani na bloku, do którego nie przychodził żaden SS-mann ani blokowy. Nawet nasz Lagerarzt nie był ani razu w tym bloku, wypytując jednak codziennie co tam słychać. Wieczorem dr Żegleń prowadził poradnię dla chorych okulistycznych i trzeba przyznać, że wyrobił sobie niebywałe uznanie.

Rozwiązanie jagliczego bloku zakaźnego nastąpiło nieco przedwcześnie, ale z przyczyn zupełnie od nas niezależnych. To, być może, spowodowało, że jaglica pojawiała się jeszcze przez cały rok 1944 w sporadycznych wypadkach. Pewnego dnia, w drugiej połowie września 1943 roku, lekarz obozowy Jobst nie przyszedł do obozu. Zastępował go SDG Dehnel, aptekarz i opiekun SS-rewiru, fanatyczny zwolennik eutanazji. Nie lubiliśmy się. Dokuczał mi zawsze jako Polakowi. Tego dnia był specjalnie złośliwy. Pytał mnie, czy dużo mam jeszcze tam na dole tych kaprawych. Odpowiedziałem, że właściwie barak już jest prawie pusty. Ty wiesz ile oni nas kosztowali pieniędzy? Powiedziałem, że to myśmy dali pieniądze na leki. No, już niedługo oni tu będą, wszyscy pojedą do Oświęcimia. Byłeś tam, to wiesz. Tam się nie bawią z takimi. Tam prosta jest droga do nieba... Byłem tym zaniepokojony. Nie wiedziałem, o co chodzi. Po apelu wieczornym z wachsztuby na bramie dali mi znać, że telefonował Lagerarzt Jobst, żebym się tam zaraz zgłosił. Wziąłem posta i poszedłem. Kiedy zameldowałem się tam, powiedział, że mam do odebrania mikroskop dla rewiru, on tylko mnie pouczy, jak się z nim obchodzić. Był w piżamie. Postowi, który stał pod drzwiami powiedział, że w korytarzu jest ławka, to może tam zaczekać. Kiedy post wyszedł, powiedział mi, że do obozu ma przyjechać jakaś komisja z Oświęcimia. Wie to od komendanta. Teraz jest chory i nie może przychodzić do nas. Chodzi zapewne o jaglicę, jeżeli będzie miał jakieś przykrości, to widzi czarno dla mnie. Pytał ilu jest jeszcze chorych jagliczych w rewirze. Powiedziałem, że niewielu, a poza tym są już zasadniczo gotowi do zwolnienia i można jutro rano wszystkich zwolnić. Raczej zostawić kilka niegroźnych przypadków, poradził. Na tym rozmowa się urwała, bo ktoś wszedł, więc zawołał Blockführera i kazał mnie odprowadzić. Zabrałem skrzynkę z mikroskopem i poszedłem do obozu. Odszukałem zaraz Dolińskiego z kancelarii. Opowiedziałem mu jak sprawa stoi. Potrzebuję zwolnić natychmiast z rewiru około 75 chorych jagliczych. Około 5 wyleczonych i chroników zostawię. Szkoda byłoby ludzi. Jak raz zaczną gazować chorych, to będzie to już tragedia. Umówiliśmy się, że po rannym gongu rozprowadzimy chorych na bloki i równocześnie do kancelarii przyślemy spis na kartkach, na które bloki poszli, żeby się zgadzał apel. Tak też zrobiłem. Wspólnie z Zegleniem wybrałem pięciu chorych, starych chroników, jedynie ze zmianami bliznowatymi, ale bez żadnych zmian czynnych i tych zostawiliśmy w łóżkach. Resztę zwolniliśmy zaraz rano. Blok kazałem zdezynfekować.

Około godz. 8 przyszedł do rewiru, w towarzystwie SDG Herzoga, Obersturmführer Friedrich Entress, Lagerarzt z Oświęcimia. Znałem go już wcześniej, bo w dniu mojego przyjazdu do Gross-Rosen, 24.12.1941, właśnie tam wyjeżdżał i wypytywał nas o Oświęcim. O jego szprycowaniach chorych i gazowaniach w Oświęcimiu wiedziałem już od Zugangów. Opanował mnie strach i obawa. Zameldowałem mu stan rewiru i plan pracy na dzisiejszy dzień. Poznał mnie, uśmiechnął się i zapytał: Na, wie gehts, Kazimir? Du lebst noch?

Odpowiedziałem z uprzejmym uśmiechem: dziękuję, powodzi mi się doskonale. Powiedział, że z powodu choroby naszego lekarza przyjechał na zastępstwo na krótki czas. Proszę zatem robić wszystko jak codziennie, ja będę tylko się przyglądał i odpoczywał po drodze. I rzeczywiście siedział sobie i tylko obserwował. Wszystkich zgłaszających się do lekarza załatwiałem sam. Nietety, tego dnia zmuszony byłem wielu odesłać z powrotem. Potem kazał się oprowadzić po rewirze. Był bardzo ciekawy. Tu przecież zaczynał służbę obozową. Zaproponowałem mu planowany na dzień dzisiejszy obchód trzech bloków rewiru, dwóch bloków schonungu i na samym końcu bloku zakaźnego. Interesował się podczas obchodu dokumentacją, leczeniem, ale nie wtrącał się na ogół do wydawanych przeze mnie poleceń. Dopiero na schonungu 16, gdzie ani blokowego, ani sanitariusza nie było i trzeba było po nich posyłać, zdenerwował się, sam robił przegląd chorych i prawie połowę kazał natychmiast zwolnić. Na schonungu 8, gdzie blokowy Zimmermann bardzo mu nadskakiwał, i rzeczywiście był porządek, mało już zajmował się chorymi, obserwował tylko pracującego w kąciku zegarmistrza Pietię i był zachwycony jego zręcznością. Potem poszliśmy do oddziału zakaźnego. Pytał, po co nam taki duży barak na choroby zakaźne. Przecież to stwarza trudności izolacyjne. Odpowiedziałem, że nie ja o tym decyduję. Na wypadek epidemii, to może być dobre. A czy mieliście jakieś epidemie? Wypytywał. Tak, niedawno na przykład mieliśmy epidemię strachu. Przyjechał transport ze wschodu i było paru kaprawych, podejrzanych o jaglicę. Musieliśmy trochę tych ludzi w okresie kwarantanny izolować, ale chyba to tylko na strachu się skończyło. Jest ich jeszcze kilku, ale praktycznie są do zwolnienia. Są jedynie jeszcze osłabieni. Bardzo go to zainteresowało. Kazał sobie natychmiast pokazać tych chorych. Ubrał drugi fartuch i rękawiczki gumowe. Kazał sobie wyjąć z teczki podręcznik okulistyki i zaznaczone miejsce otworzyć. Były tam właśnie kolorowe ryciny chorych na jaglicę, z dokładnymi objaśnieniami. Badał, oglądał i porównywał. Potem zaczął mi łaskawie objaśniać. Tłumaczył cierpliwie, że popełniliśmy błąd, bo to są zmiany stare, bliznowate, deformacyjne. Nie trzeba być okulistą, żeby wiedzieć, że co jest już bliznowate, to musi być stare, a jaglica jest ostrą chorobą zakaźną. Zatem, to jest nie tylko błąd lekarski, ale przestępstwo, żeby hospitalizować ludzi, kiedy oni powinni pracować. Na tym skończył wizytację, przebrał się, umył i zdezynfekował ręce, i zaproponował spacer po obozie, bo tu dużo się zmieniło.

Po wyjściu z rewiru szliśmy wzdłuż ogrodzenia obozu. W pewnej chwili zaczął rozmawiać po polsku. Mówił zupełnie bez akcentu niemieckiego. Ja machinalnie odpowiadałem jeszcze po niemiecku. Powiedział, że to jest co najmniej niegrzeczne. Odpowiedziałem ze śmiechem, że u nas na bramie obozu wisi taki napis: Wer polnisch quatscht ist unser Feind und wird als Feind behandelt. Odpowiedział jednym słowem: Dummheit. I rozmawialiśmy dalej po polsku. Pytał, gdzie studiowałem, opowiadał, że był wiele razy w Krakowie.

Był tam na przykład w 1934 roku w świącie towarzyszącej ministrowi Gebbel-sowi, który tam miał wykłady o narodowym socjalizmie. Wiem, że były takie w jesieni 1934 roku, bodaj w sali kina „Świt”. Mówił także, że studiował medycynę w Poznaniu, zna dobrze język polski i Polaków, i jego trudno oszukać. Pod bramą główną odmeldowałem się i wróciłem do rewiru. W rewirze Entress nie był już więcej. Był jeszcze w obozie przy apelu wieczornym i razem z Ernstbergerem chodził między szeregami i przyglądał się więźniom.

Nasz Lagerarzt Jobst wrócił dopiero po 3 czy 4 dniach. Pierwszego dnia kazał mi szczegółowo opowiedzieć, jak przebiegła wizytacja Entressa w rewirze. Pokręcił głową, kiedy mu opowiedziałem, że on studiował w Polsce i doskonale mówi po polsku. Powiedział tylko, że jest mu wszystko jedno, ma już dość obozów i złożył już pismo o przeniesienie na front. Rzeczywiście, około 6 tygodni potem Jobst niespodziewanie odszedł, ale dokąd nie wiedzieliśmy wtedy. W latach sześćdziesiątych byłem przesłuchiwany w jego sprawie, na zlecenie jakiegoś sądu z Czechosłowacji, i wtedy dowiedziałem się, że z Gross-Rosen odszedł do Flossenbürga, a nawet był także lekarzem obozowym w Leitmeritz. Byłem tam przez ostatnie trzy miesiące obozowe, ale o tym nie wiedziałem, ani go tam nie spotkałem.

Tego lata znowu zmieniono kapo rewiru. Po odejściu Richtera na zwalczanie band, rewirkapo został mianowany BV-er Alfred Stoll. Mierny złodziej-szek i oszust był najgłupszym kapo rewiru. Był jednak złośliwym łapówkarzem. Zawsze wiedział kto może się opłacać, a kiedy chory nie chciał, kazał wyrzucać z rewiru. Stąd miałem z nim wiele zatargów. Można go było jednak zawsze zastraszyć Lagerarzem. Wpadł przez głupotę. Obchodził urodziny. Sanitariusze i sztabowi naznosili mu podarków, powypisywali laurki, posadzili na białym fotelu, który używał Lagerarzt, dali coś do wypicia i śpiewali mu tam piosenki. Niespodziewanie wpadł do rewiru Jobst, nie spodobało mu się to i kazał go wyrzucić. Zamiana była dla nas zła. Przyszedł BV-er Gottlieb Kaiser, z Berlina, podobno jakiś urzędnik. W każdym razie polakożerca, awanturnik, karciarz i człowiek zaufany Eschnera. Chciał podporządkować sobie bezwzględnie sanitariuszy i lekarzy, i nawet ich bił. Jobst nie lubił go, mimo że Kaiser starał się mu nadskakiwać, ale nie miał powodu go zmieniać. Kaiser stale wzmacniał swą pozycję i ciągle podpuszczał na nas Eschnera, który coraz częściej wtrącał się do rewiru.

Pod koniec września lub z początkiem października przybył do obozu jakiś transport z terenów wschodnich. Tym transportem przybyli dwaj polscy lekarze Jan Jachna i Antoni Mianowski. Jachna był przeznaczony dla komanda Dyhernfurth II, które powstało na przełomie sierpnia i września, i po dwóch dniach wyjechał. Mianowskiego przeznaczono do nas do rewiru. Przed podziałem pracy rozmawialiśmy dość długo. Okazało się, że w zasadzie z zamiłowania jest ginekologiem. Jest dopiero około 3 tygodni uwięziony i w żadnym jeszcze obozie nie przebywał. Z rozmowy wynikało, że nie bardzo zdaje



sobie sprawę dokąd się dostał. Poza tym czynił wrażenie porządnego lwowia-ka. Trudno jest nowemu koledze uświadamiać to, co się dzieje w obozie. Wprowadzałem go bardzo ostrożnie w temat. Uprzedziłem, że niestety jest nas mało i jako nowy otrzyma w opiekę najcięższej chorych, ale niech się nie dziwi. Jest nas dwóch, przy czym Żegleń jest od nas dwa razy starszy, niedawno ciężko chorował i trzeba go trochę oszczędzać. Musimy się pracą dzielić. My już czwarty rok siedzimy. Może już nie wyglądamy na całkiem normalnych. Tego sami już nie ocenimy. Proponuję układ następujący: ty dostaniesz trzeci rewir, najcięższy, Żegleń zakaźny i wieczorne ambulatorium, ja z Chojnackim, studentem medycyny, zajmiemy się nadal 1 i 2 rewirem, izbą przyjęć i całością. Proszę dokładnie obserwować, co się tu dzieje, nauczyć się trzymać język za zębami do czasu aż się człowieka pozna i za kilka dni porozmawiamy o wszystkim dokładniej. Był przecież więźniarskim nowicjuszem.

Antoś zgłosił się do mnie już po dwóch dniach. Miał wiele żalu i pretensje, że otrzymał najgorszy odcinek pracy. Tam są sami konający i sami gruźlicy, przekonywał. No dobrze, a czy oni nie są chorzy? Poza tym kolego, do czasu aż się w obozie zorientujecie, bardzo proszę i umawiamy się, że nie będziemy mówić ani wspominać o gruźlicy. Ja byłem ponad rok w Oświęcimiu i wiem co to znaczy. A poza tym, aby pewnie rozpoznać gruźlicę, trzeba badania płwociny i badania radiologicznego. Nie mamy ani jednego, ani drugiego. Świadomie nie chcę badać płwociny. W ogóle nie chcę rozmawiać na tematy chorób zakaźnych w obozie. To zbyt niebezpieczne. Poza tym mam prośbę. Odlóżmy tę rozmowę na 2 do 3 tygodni. Od kilku dni czuję się chory i prawdopodobnie będziesz mnie zastępował. Nie wiem dlaczego nie mogłem się zdobyć na otwartą rozmowę i nie uświadomiłem go, że Niemcy trują i zabijają ludzi pod pozorem niszczenia chorób zakaźnych. Chyba źle zrobiłem, ale nie chciałem nowemu młodemu lekarzowi wszystkiego przewracać w głowie i zmieniać jego pojmowania medycyny.

Dwa lub trzy dni później znów nie było Lagerarzta. Jakoś coraz częściej był nieobecny, przychodził nieregularnie, czasem tylko wieczorem. Zastępował go Hauptscharführer Dehnel. Z tym byłem zawsze oficjalny i nie wdawałem się w dyskusje. Wtedy też ja zostałem przy swojej pracy, a on poszedł połączyć po rewirach. Około południa wpadł do mnie do ambulatorium jak burza i zaczął wykrzykiwać: Ty przeklęty Polaczku! Ty tu już dwa lata pracujesz i jeszcze nie znalazłeś ani jednego gruźlika! A twój nowy kolega w dwa dni znalazł już 10 gruźlików. Ty oszuście! I dając mi kartkę, na której poznałem pismo Mianowskiego wykrzyczał: Na 14.00 godzinę tych ludzi dostarczyć do krematorium! Ja sam tam będę czekać! Spokojnie powiedziałem mu, że jestem chory, ale polecenie przekażę kapo rewiru.

Posłałem po dr. Mianowskiego. Kiedy przyszedł, powiedziałem do niego: Nie chciałeś zaufać koledze, zaufałeś niemieckiemu sierżantowi. Dałeś się nabrać na siwe włosy i miły głos. Widzisz czegoś nawarzył? Jeszcze u nas nie

było szprycowania chorych. Masz tę swoją kartkę ze spisem gruźlików. Kaza-  
no żebyś ich dostarczył na 14.00 godzinę do krematorium. Ciesz się, że ich  
Dehnel zaszprycuje, a nie każe tego robić tobie! Rozpląkał się Antoś jak małe  
dziecko. Zaczął opowiadać, że notatka była tylko dla niego. Dehnel zastał go  
przy badaniu chorych. Podczas badania swoje uwagi spisywał na kartce. U góry  
było napisane Tbc. Skrót zrozumiały. Odchodząc zabrał mu tę kartkę. Co teraz  
będzie? Co dalej robić? Nic nie zrobisz, odpowiedziałem. Przez dwa lata lawi-  
rowałem jak mogłem. Zdawałem sobie sprawę, że najtrudniej zacząć, nasz  
lekarz obozowy też wolałby tego uniknąć. Jak raz zaczną, będzie źle. Nam nie  
uda się nic zrobić, ja ci też nic nie mogę poradzić. Jesteś lekarzem i zdajesz  
sobie z tego sprawę. Jak długo jestem tu w rewirze, nie zdarzyło się, żeby  
konający z waszej pryczy w 3 rewirze wrócili kiedykolwiek do łóżka. Weź  
sobie tę kartkę i przygotuj chorych na 14 godzinę. Transportem zajmie się  
kapo rewiru. Ja jestem oficjalnie chory. Od jutra zajmiesz się urzędowo moim  
zastępstwem. Co będzie dalej, nie wiem. Wytrzymaj się, żeby nikt nie wiedział,  
że płakałeś. Nie waż się chodzić sam do krematorium... Potem poszedłem do  
kapo rewiru Kaisera i przekazałem mu polecenie dostarczenia wyznaczonych  
ludzi na 14.00 do krematorium. Wykaz jest w 3 rewirze. Pytał, jak to ma zro-  
bić, bo jeszcze dotychczas tego nie robiono. No cóż, trzeba zebrać wszystkich  
sanitariuszy, bo do 10 noszy potrzeba ich 20. Poszli wszyscy. Opowiadał mi  
potem Chojnacki z płaczem. Zabrali wszystkich konających z pryczy. Nago,  
bo nie mieli koszul ani koców. I tak nieśli przez cały obóz tych nagich ludzi do  
krematorium. Ludzie ci jeszcze się ruszali. Tam już czekał Dehnel. Wnosili  
i przesuwali chorych na stół sekcyjny. On sam wykonywał zastrzyki. Gdzie  
i jak nie wie, bo nikogo tam nie wpuszczano. Za każdym razem wychodzili do  
przedsionka.

Przed apelem wieczornym podjechał pod rewir na rowerze Lagerarzt Jobst.  
Kazał mnie zawołać. Zawołał mnie Władek Kotula i prędko usunął się z izby  
przyjąć. Byliśmy sami. Jobst był bardzo zdenerwowany i spacerował tam i z po-  
wrotem. Wreszcie stanął przede mną i zaczął wymyślać od ostatnich durni.  
Co za demonstrację urządziłeś z tym transportem nagusów do krematorium?  
Czy wiesz jaką ohrfeige usłyszałem teraz od komendanta? W obozie pracowa-  
wały komanda, co by było, gdyby rzucili się na Blockführerów? Spokojnie  
zameldowałem mu: Ja przy tym nie byłem. Rozkazał w pana imieniu Dehnel.  
Transportem zajął się kapo rewiru. Obiecywał mi pan, że w rewirze nie będzie  
za pana Missbehandlung. Moim zdaniem pan komendant miał zupełną rację!  
Ich habe keine Ahnung davon und mit diese Sache nicht zu tun gehabt. Jobst  
znowu się przeszedł, stanął i powiedział: Du Kasimir! Sie sind ein verrückte  
Pole. Der Eschner und der Ernstberger sind nicht so dumm. Ich kann sie weiter  
nicht schützen gegen die Alle. Jetzt ist kein anderer Rat. Gehen sie ins Bett  
und bleiben sie schwer krank bis das alles ausgeriecht. Wenn sie welche Medi-  
kamente brauchen geben sie mir Bescheid.

Rozmawiałem z Żegleniem. Nie chciał na siebie brać całości pracy. Twierdził, że tyle już przeszedł, że nie czuje się na siłach. Będzie Mianowskiemu pomagał. Zbadał mnie przy okazji i stwierdził, że jednak byłby skłonny myśleć o durze albo paraturze. Ustaliliśmy dalsze leczenie i zacząłem chorować. Niewiele pamiętam z tego okresu. Dużo spałem, gorączkowałem dość nietypowo i wyniki Widala były nietypowe. Miano Widala podwyższone, najczęściej jednak odnośnie Paraty. A Weil Felix ujemny. Jobsta więcej nie widziałem, nie wiem nawet, czy się mną interesował. Kiedy zacząłem znów pamiętać, co się działo, była już pogoda zimowa. Codziennie padał śnieg z deszczem i ciągła chlapa. Przychodził do mnie codziennie Żegleń, Chojnacki, Jarosiński i jeszcze kilku kolegów, ale dziś już nie pamiętam którzy. Z Mianowskim nie spotykaliśmy się lub tego z tego okresu nie pamiętam. Zaczynałem powoli wstawać. Za pierwszym razem zwałem się koło łóżka. Potem było już lepiej. Nie gorączkowałem już.

Pewnego dnia, a było to już w listopadzie, może pod koniec, kiedy była bardzo brzydka pogoda i wszędzie pełno błotnistej bryi, zaszedł głupi przypadek. Rano przed apelem ktoś wylał kocioł zupy koło kuchni i nie posprzątał. Apele odbywały się jeszcze na placu poniżej rewiru. Eschner szedł rano na apel i pośliźnął się na tej zupie. Wezwał kopo rewiru Kaisera i zaczął go beszczać. Ten zamiast obronić rewir, bo tego rzeczywiście nie zrobiły nasze chłopaki, powiedział usłużnie, że zaraz każe posprzątać, a tych przeklętych Polaków nie szkodziłoby trochę popędzić. Zaraz po południu przyszedł do rewiru Eschner, kazał Kaiserowi zrobić zbiórkę wszystkich polskich sanitariuszy i zrobili im na placu apelowym ćwiczenia karne. Sport – jak to bywało na samym początku. Hüpfen, rollen, hinlegen und auf. Wszyscy byli ubłoceni od stóp do głów, a ci dwaj chodzili między szeregami i pokopywali ludzi. Obserwowałem to z 1 rewiru przez okno i wściekałem się ze złości. Potem napadła mnie taka wściekłość, że ubrałem buty i marynarkę, i wyszedłem na plac, meldując Eschnerowi swoje spóźnienie na ćwiczenia karne. Powiedział, że wcale mnie nie wzywał, a poza tym podobno jestem chory. Powiedziałem mu, że chorzy są nie załatwieni, lekarz obozowy nic nie wie, że rewir został bez opieki. Tymczasem Niemcy (do tego czasu już wiedzieliśmy dokładnie kto wylał zupę) wylali zupę, a za to ćwiczą w błocie Polacy. Wtedy podszedł do mnie kapo Kaiser, uderzył w twarz i krzyknął: Jak ty śmiesz, polska świnię, tak się odzywać do pana Rapportführera? Nie wytrzymałem i wyrąbałem mu od razu: To ty jesteś czarną niemiecką świnią. Takiej świni należałoby ten łeb odrąbać i wrzucić do tego basenu. Staliśmy właśnie mniej więcej w dole pod basenem przeciwpożarowym. Eschner rozpuścił sanitariuszy głośnym węgretren! Mnie tymczasem dalej obrabiał Kaiser. Eschner podszedł do nas, kazał mu zaprzestać bić i powiedział: Tak czy inaczej mnie tu na dłoni włosy wyrosną jak on jeszcze do jutra dożyje. A ja odpyskowałem: a mnie wyrosną na obu rękach jak pan robi to osobiście. Każe pan to zrobić takim jak Kaiser! Odeszli obaj. Ja powlokłem się do rewiru.

Nie wiedziałem, po co to zrobiłem, komu potrzebna była ta awantura. Widocznie nerwy nie wytrzymały. Ale wobec tego trzeba być konsekwentnym. Nie dać się całkiem zaszczuć, nie dać im się ucieszyć. Posiedziałem chwilę w łóżku. Inni, wystraszeni nie odzywali się. Podczas apelu na placu wyszedłem do sali zabiegowej, zwanej operacyjną. Wiedziałem, gdzie jest trzymany kluczyk od szafki z truciznami. Ale tam prawie nic nie było. Znalazłem tylko jedną ampułkę 0,01 morfiny i słoik fanodormu. Nie pamiętam, ile w nim było drażetek, 30 czy 40. Nie gotując z pośpiechu strzykawki, zrobiłem sobie zastrzyk w udo, połykałem w pośpiechu drażetki, wrzuciłem gdzieś słoik i poszedłem do łóżka. Nie pamiętałem, że jestem uczulony na morfinę i wymiotuję. Dopiero kiedy w łóżku chwyciły mnie wymioty, cały się umazałem. Więcej nie pamiętam z tego czasu niczego. Resztę znam z opowiadań. Marian Jarośniński, wówczas przebywający w rewirze, znalazł mnie tak wieczorem umazanego wymiocinami. Wezwał zaraz dr. Mianowskiego i Żeglenia, wyplukali żołądek oraz w nocy wezwali jeszcze lekarza obozowego. Potem ktoś stale siedział na dyżurze. Im zawdzięczam życie, którym tak głupio zaryzykowałem. Nie wiem, jak długo trwało u mnie takie otępienie. Mnie się zdaje, że co najmniej kilka dni. Ale długo potem zdawałem sobie sprawę, że coś się stało niedobrego. Byłem ciągle jakiś oszołomiony. Nie pojmowałem co do mnie mówią. Straciłem pamięć. Nie mogłem sobie przypomnieć nazwisk najbliższych kolegów. Miałem stale szum w uszach i nie mogłem zachować równowagi. Stroniłem od znanych twarzy. W nocy budziłem się spocony, z napadami lęku. Unikałem rozmowy, koledzy chyba dlatego przychodzili rzadziej. Jedynie codziennie przychodził pewien Jugosłowianin. Ja go zapamiętałem jak Janko Jankowicia, partyzanta, pochodzącego gdzieś z okolic Drwała. Uczył mnie swego adresu, aby się spotkać po wojnie. Nie wierzyłem w to i nie zapamiętałem. Pomagał mi się myć, prał mi bieliznę, podarował nową jedwabną granatową koszulę przyslaną z domu i może dlatego tak go zapamiętałem, bo koszulę tę nosiłem często, aż do dnia wolności i wyjścia z obozu. Adres jego niestety zapomniałem. Nie myślałem zresztą, że przeżyję, że kiedykolwiek w życiu będę w Jugosławii. Nigdy w życiu go już nie spotkałem. Nie pamiętam także nic z okresu świąt Bożego Narodzenia 1943 roku. Dopiero około Nowego Roku 1944 zacząłem powoli przychodzić do siebie. Nie wychodziłem jednak w ogóle z rewiru. Unikałem ludzi.

Sprawa moja stała się głośna, co było mi wtedy nie na rękę. Dotychczas Eschnerowi nikt się w obozie nie sprzeciwił, a do tego publicznie. Kaiser w tym czasie został mianowany Lagerältesterem i rządził całym obozem, nie mogłem zatem pokazywać się w obozie, bo pognałby mnie na druty. Miał swoich szpicli i w rewirze, zatem nie rozmawiałem z nikim na ten temat. Wiedziałem, że to nie ujdzie mi bezkarnie i zastanawiałem się, jak i kiedy. Byłem wykończony fizycznie i psychicznie. Zauważyłem, że straciłem pamięć. Dawniej miałem bardzo dobrą pamięć wzrokową, obecnie nie poznawałem twarzy, nie

mogłem sobie przypomnieć nazwisk ludzi dobrze mi znanych. Myślałem, że to chwilowe działanie po barbituranach lub po chorobie. Niestety, pamięci do nazw, nazwisk, nowych ludzkich twarzy nigdy już w dawnej formie nie odzyskałem. Odtąd w pracy mojej przez całe życie musiałem dokładać znacznie więcej pracy i wysiłku niż dawniej.

Pewnego dnia po Nowym Roku przybiegł nowy kapo rewiru Georg Prill i wyrzucił wszystkich chorych na korytarz czy do innej sali, a mnie kazał zostać. Na korytarzu słyszałem jakieś Achtung i meldowanie. Za chwilę do sali weszli Sturmbannführer Hassebroek, komendant i Obersturmführer Ernstberger, Lagerführer. Przez drzwi widziałem twarz Eschnera, ale pozostał on na korytarzu. Zameldowałem się nieco drżącym głosem.

Komendant siadł na stołku i obserwował. Ernstberger zaś zapytał krótko, czy jestem przygotowany, żeby odpowiadać na wszystkie pytania szczerze, czy też ma mnie wezwać do wydziału politycznego. Powiedziałem, że jestem gotów odpowiadać na wszystkie pytania. Co to była za awantura, którą zrobiłem na placu apelowym i czy zdaję sobie sprawę, że obraziłem SS-mana i Rapportführera. Nie wiedziałem, że zaczną z tej strony. Odpowiedziałem, że rzeczywiście, nie wiem. Coś mi tu opowiadali chorzy, ale ja nic nie pamiętam, bo od 2 miesięcy, albo więcej, jestem chory i dopiero zaczynam wstawać. Co to była za choroba? – zapytał. Ja nie wiem, gorączkowałem, miałem biegunki, bolała mnie głowa, a wysłane materiały wykazały, że chodzi o paratyfus, czyli odmianę Bauchtyfusu. Ta choroba daje czasem takie zaniki pamięciowe. Nigdy nie obraziłem pana Rapportführera i nigdy bym tego nie uczynił, nic takiego nie pamiętam. I tak było kilka razy w kółko. Potem Ernstberger siadł, i pokazał mi swój palec prawej ręki, i zapytał, czy ten palec pamiętam. Oczywiście, przecież go składałem, gipsowałem, potem masowałem. No to znaczy, że nie straciłeś pamięci, więc opowiadaj. My rozważymy sprawiedliwie, ukarzymy kogo trzeba i wrócisz do pracy. Zaprzeczyłem i powiedziałem, że na prawdę nic nie pamiętam, a jeśli rzeczywiście jako chory coś zrobiłem, to proszę o ukaranie mnie, bo nic więcej nie pamiętam i nie mogę powiedzieć. Widocznie na to czekali, zobaczyłem to po twarzach, spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Wtedy odezwał się po raz pierwszy komendant. Zapytał mnie o lata, czy jestem żonaty oraz za co siedzę. Odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że nie wiem. A co ci napisali, zapytał. Politisch verdächtig und widerstandsfähig, bo wracałem po wojnie ze wschodu do domu, do rodziców. Und bist du verurteilt? Jawohl, Konzentrationslager bis zur Kriegsende. Uśmiechnął się i powiedział: No, więc my tego nie możemy ci zmniejszyć, ale wojna skończy się niedługo naszym zwycięstwem, to będziesz wtedy zwolniony do domu i będziesz mógł się żenić. Ernstberger popatrzył mi jeszcze raz przenikliwie w oczy i powiedział: Tylko ze względu na ten mój palec, chcę ci jeszcze raz uwierzyć. Dlatego nie pošlę cię do karnej kompanii, ale tu nie możesz zostać. Pojedziesz do Aussenkomanda. Możesz sobie sam wybrać, do którego. Bły-

skawicznie myślałem, stojąc w pozycji na baczność i wlepiając w niego oczy. Wszystkie Aussenkomanda są małe, po około 150 ludzi. Na takim komandzie sanitariusz normalnie musi pracować i wieczorem dodatkowo jako sanitariusz. Tak opowiadał Żegleń, tak opowiadał Dziaduś. Największe komando jest w Dyhernfurth II. Dodatkowo podobno jest to komando zamknięte. Tam nie będą za często dojeżdżać, a może Eschner w ogóle tam nie przyjedzie. Zatem powiedziałem, proszę mnie wysłać do Dyhernfurth II. Zapytał jeszcze, a wiesz co tam jest. Odpowiedziałem: Jawohl, eine Giftbude. Also diese Tage kommst du weg – powiedział Ernstberger i odeszli. Tak więc nawet ten leczony palec Lagerführera przydał się w decydującej chwili. Najważniejsze, żeby się dostać poza zakres władzy Eschnera. Tu nie mogłem zostać, bałbym się wyjść wieczorem poza barak. Już nie raz widziałem sceny, kiedy ni stąd ni zowąd popędzono kogoś na druty tylko dlatego, że naraził się Eschnerowi czy któremuś Blockführerowi. Poza tym miałbym tu na miejscu bardzo trudną sytuację. Jobst dawno odszedł, Lagerältesterem został mój wróg nr 1 – Kaiser, a kapo rewiru mój wróg nr 2 jeszcze z jenieckiego obozu – Georg Prill. Z oboma miałem wiele smutnych doświadczeń.

Nie wiedziałem kiedy wyjadę, więc musiałem być gotowy jak najprędzej. Cóż jednak więzień ma do pakowania. Niczego mieć nie wolno. Musiałem się rozstać z moim polskim kalendarzem lekarskim. Po prostu mogłem wpaść i byłaby nowa sprawa. Podarowałem Żegleniowi, ucieszył się, że będzie mógł czytać wieczorem. Ja natomiast zabrałem niemiecki Taschenbuch der pathologischen Anatomie. Niemiecka książka nie jest zakazana. Można sobie ćwiczyć język. Przy pożegnaniu z Józkiem jakoś nam starym niechący popłynęły łzy. Już czwarty rok kalendarzowy błakamy się razem, żegnamy i znów witamy. Co będzie teraz. Podobno z tego komanda się nie wraca. Ale czy w ogóle z obozów koncentracyjnych się wraca? Podobnie trudne pożegnanie było z Władkiem Kotulą i Włodziem Chojnackim. Jakoś tak serdecznie zżyłem się z nimi. Poza tym byli tak dobrymi współpracownikami, nie dekownikami. Na nich można było zawsze polegać. Do pracy zawsze się znaleźli pierwsi, nawet w nocy. Kotula zrobił trochę jakiejś wspaniałej nalewki. Wypiliśmy to w naszych garnuszkach jak herbatę, i nikt na sali nic nie wiedział. I wtedy Władzio pouczył mnie, jak się to robi. Otóż widzisz nawet Niemcy mają pod dostatkiem spirytusu salicylowego. Tego nie robi się z żadnych złych alkoholi, bo on służy do nacierań itd., więc można by się zatruć. Ale można oddzielić salicyl od spirytusu bardzo łatwo, wytrącając go sodą, a sody, czyli natrium bicarbonicum, możesz dostać nawet w obozie dość, bo tego nikt nie potrzebuje. Nikt się tu nie przejada, więc nie ma i zgagi. Tak więc z salicylu i sody strąca się na dno aspiryna i to jest dobrze, bo jej potrzeba bardzo dużo dla chorych, a zostaje dobry spirytus dla spragnionych. Dobry sposób, prosty i niezawodny, i nieraz w obozie mi się przydał, jak już wszystko zawodziło. To był dobry sposób, żeby coś wycygnąć czy uzyskać.